

W numerze: BOGUSŁAW KUKUĆ **O sprawną administrację** • KAROL BADZIAK **Chłop pacjentem jest i basta** • RYSZARD BINKOWSKI **Nie wierzcie macochom** • WŁADYSŁAW ORŁOWSKI **„Karabiny“** • WIKTOR MAŁSKI **Dwóch Hamletów w Bośni** • **Felietony** • **Zewsząd o wszystkim** •

odgłosy



24 (760)
11. VI. 1972 r.
Cena 1.50 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK XV



Scena z „Sonaty” B. Bartoka w wykonaniu solistów Opery Poznańskiej

Wyszomska

TERESA WOJCIECHOWSKA

III Łódzkie Spotkania Baletowe

Stoj przede mną trudne zadanie omówienia imprezy, która trwała bez mała dwa tygodnie, a której każdy wieczór przynosił nowy ładunek wrażeń, doznań i odczuć nie zawsze jednoznacznych, nie zawsze pozwalających do końca skrytykować oceny. Każdy z tych wieczorów ukazywał, poprzez układy choreograficzne, poprzez kreacje tancerzy, jakąś nadrzędną ideę, jakąś koncepcję artystyczną baletu, reprezentowaną przez jego kierownika.

Każdy z tych wieczorów omawiany był szczegółowo przez recenzentów pism codziennych, pozostały więc chyba dla mnie jakieś ogólniejsze wnioski i refleksje z tej największej imprezy tegorocznej Wiosny Artystycznej w naszym mieście. Największej również w porównaniu z poprzednimi dwoma Spotkaniami Baletowymi, które miały miejsce w 1968 i 1970 roku. Może

więc na początek kilka porównań. Jest to impreza coraz bardziej międzynarodowa i jak dotąd — coraz mniej ogólnopolska. Z pierwszego należy się cieszyć, drugim raczej martwić. Więc cieszymy się najpierw. W pierwszych Spotkaniach, o charakterze krajowym, uczestniczył tylko balet Opery Lipskiej. W drugich — obok pięciu zespołów polskich wystąpiły trzy zagraniczne: Balet XX Wieku Maurice Bejarta, Zespół Solistów Radzieckich i balet Opery Lipskiej. W tym roku zawiwały do nas, cztery balety zagraniczne, wystąpiły cztery polskie.

Najpierw więc o gościach w kolejności chronologicznej występów: Ballet Rambert z Anglii, Teatr Tańca Lazziniego z Francji, balet Teatru Miejskiego w Koszycach z Czechosłowacji i Zespół Koncertowy „Balet Klasyczny” z Moskwy. Szczególnym zbiegiem okoliczności zespoły te

zaprezentowały dość bogatą różnorodność stylów, charakteru i koncepcji artystycznych.

Ballet Rambert jest jednym z najstarszych baletów brytyjskich, założony został w 1926 roku przez Marię Rambert, Polkę z pochodzenia, dziś 84-letnią panią, której wiek nie pozwolił przyjechać do Polski. Przysłała więc swój świetny zespół oraz taśmę z serdecznymi słowami wygłoszonymi piękną polszczyzną co jest wzruszające jak na 86-letnią nieobecność artystki w kraju. Ballet Rambert występował na wszystkich niemal kontynentach, wychował wiele światowej sławy tancerek i tancerzy. W Łodzi Anglicy zaprezentowali, podczas dwóch wieczorów, osiem pozycji ukazujących dużą rozpiętość stylistyczną i repertuarową (od żartobliwej zabawy i groteski „This Goodly Sport” do staroangielskiej muzyki dworskiej czy groteskowo-pantomimiczny „Akt” po filozoficzno-refleksyjne „H” do muzyki Pendereckiego, obrazujące katastroficzną wizję samounicestwienia ludzkości), wielce starannie przygotowanie muzyki (przy wykorzystaniu muzyki kompozytorów zagranicznych, Anglicy dysponują nagraniami najlepszych orkiestr tych krajów).

Ten kameralny 20-osobowy balet, kierowany przez choreografa Normana Morice'a, składa się z samych solistów i to solistów najwyższej klasy. Układy choreograficzne powierzane są również członkom zespołu. Ballet Rambert jest efektowny, lecz nie efekciarski, jest intelektualny, lecz nie przeintelektualizowany, oparty na zasadach techniki tańca klasycznego, jest nowoczesny, poetycki i pełen zadumy, umie być również żartobliwy.

Joseph Lazzini opromieniony jest sławą nowatora, reformatora teatru baletowego. Jego zreorganizowany niedawno zespół, składa się z corps de ballet i solistów — gwiazd baletu francuskiego. Twórczość tego choreografa mieliśmy okazję oglądać w układach prezentowanych przez zespół francuski i — na jednym z wieczorów warszawskich — przez balet Teatru Wielkiego z Warszawy. W związku z tym Lazzini — jak sam to powiedział — w „programie francuskim”, aby dać polskiemu widzowi pełny obraz swej twórczości — zaprezentował balet klasyczny dla udowodnienia, że nie tylko moderna jest jego specjalnością.

Nie zrobił chyba najlepiej, bo tylko niewielka część publiczności obejrzała oba programy Lazziniego i mogła dokonać pełnej oceny jego zainteresowań choreograficznych. Wieczór francuski był w znacznej części nużący mimo wysokiej klasy popisów tanecznych, zawiodła nieco strojna techniczna tak jak i Polskie Koleje Państwowe, które nie zdążyły w ciągu pięciu dni dowieźć do Łodzi dekoracji na czas.

Pisze się o Lazzinim, że „dąży do koncepcji tańca jako teatru totalnego, gdzie tańczy wszystko, światła, dekoracje i ludzie. Uważa on taniec za (...) syntezę wszystkich sztuk widowiskowych”. I chyba tak jest, dlatego może chwilami wydaje się, że w jego baletach jest wszystkiego za dużo. Za dużo ruszających się rekwizytów, za dużo tańczącego światła, za dużo kolorów, za dużo dosłowność.

Dalszy ciąg na str. 8



Krótką, ale maksymalnie wykorzystaną na rozmowy wizytę prez. Nixona w Warszawie zakończył wspólny komunikat. Podkreśla on, że obie strony dokonały pozytywnej wymiany poglądów na temat międzynarodowych oraz wzajemnych stosunków. Przeprowadzone rozmowy określa się jako „szczerze, rzeczowe i konstruktywne”.

Zwróćmy uwagę na najistotniejsze kwestie, które były przedmiotem rozmów i znalazły swe odzwierciedlenie w komunikacie.

Ze zrozumiałych względów zainteresowanie stron koncentrowało się na Europie, jej pokojowym kształcie. Przedstawiając swe poglądy na ten temat obie strony określiły warunki pokojowej współpracy między państwami, a wśród nich nienaruszalność granic. Sprawa granic — co chcielibyśmy szczególnie podkreślić — występuje w komunikacie także drugi raz: w kontekście układu z NRF. Zawarte w tym miejscu stwierdzenie, że obie strony z zadowoleniem powitały układ oraz „ZAWARTE W NIM POSTANOWIENIA DOTYCZĄCE GRANIC” jest dla nas szczególnie istotne — ma znaczenie wyrażonego przez USA poparcia dla ostatecznego zamknięcia kwestii zachodniej granicy Polski.

Dla europejskiego pokoju uznano za rzecz ważną „WZAJEMNĄ REDUKCJĘ SIŁ ZBROJNYCH I ZBROJEN, PRZED WSZYSTKIM W EUROPIE ŚRODKOWEJ”. Takie ograniczenie byłoby ważnym krokiem w kierunku powszechnego i całkowitego rozbrojenia. Komunikat sugeruje, aby na specjalnym forum zainteresowane państwa osiągnęły porozumienie w sprawie procedury rokowań i to „TAK SZYBKO, JAK TYLKO BĘDZIE TO PRAKTYCZNIEMOŻLIWE”.

Za celowe i pozytywne uznano zwolnienie europejskiej konferencji na temat bezpieczeństwa i współpracy. Wielostronne przygotowania — zdaniem obu stron — powinny rozpocząć się bez niepotrzebnej zwłoki.

Przypomnijmy, że stanowisko USA wobec idei europejskiej konferencji nie od początku jej zgłoszenia było jednoznaczne i wspierające. Teraz — w rozmowach moskiewskich i warszawskich — ewoluowało w kierunku poparcia i przyspieszenia przygotowań.

Oczywiście, nie we wszystkich omawianych problemach w toku wizyty prez. Nixona zarysowały się zbliżone opinie. I tak komunikat stwierdza wyraźnie, że w sprawie wojny w Wietnamie „ZASADNICZE POZYCJE OBU STRON... POZOSTAŁY ROZBIĘŻNE”.

Druga część komunikatu mówi o rozmowach na temat stosunków dwustronnych. Stwierdzając rozwój kontaktów handlowych i gospodarczych — obie strony widzą możliwości ich dalszego rozszerzenia. Komunikat wspomina o wymianie informacji, powołaniu wspólnej Komisji do spraw handlu, inicjowaniu wzajemnych kontaktów i współpracy między organizacjami gospodarczymi oraz przedsiębiorstwami, o celowości zawarcia umowy międzyrządowej o współpracy w dziedzinie nauki, techniki i kultury, o rozbudowie połączeń komunikacyjnych, zapowiadając w przyszłości zawarcie umowy o komunikacji lotniczej.

W toku rozmów omówiono także sposoby uczczenia 500 rocznicy urodzin Mikołaja Kopernika.

Wreszcie przypomnieć trzeba i o tym, że w toku warszawskiej wizyty Nixona i towarzyszących mu osób podpisano umowę konsularną, w myśl której z dniem 1 grudnia br. w Nowym Jorku i Krakowie powołane zostaną konsulaty.

Przywódcy Polski zostali zaproszeni do złożenia oficjalnej wizyty w Stanach Zjednoczonych.

Podjętą przez prezydenta Stanów Zjednoczonych w Polsce i prowadzącą z nim rozmowy — kraj nasz udowodnił jak bardzo zainteresowany jest realizacją zasad pokojowego współistnienia.

Na pomysłny przebieg rozmów polsko-amerykańskich miały oczywiście wpływać, uwięzione wieloletnimi porozumieniami, rozmowy moskiewskie, fakt, iż w ich rezultacie Stany Zjednoczone przyjęły zasadę pokojowego współistnienia. Jest to historyczny sukces leninowskiej polityki, realizowanej wspólnie przez kraje socjalistyczne.

Następstwa rozmów moskiewskich i warszawskich powinny wyrazić się w spotęgowaniu procesu odprężenia w Europie i na całym świecie, w stosunkach między Wschodem i Zachodem.

Realizacją ustaleń w rozmowach są więc zainteresowane nie tylko rozmawiające kraje, ale wszystkie, które żyją z nim i pokojowej współpracy.

Powiedział o tym tuż po powrocie z podróży do Moskwy, Teheranu i Warszawy prez. Nixon w swym przemówieniu w Kongresie. Oto jego słowa:

„W miarę rozstrzygnięcia przez nas problemów związanych z utrzymywaniem pokoju posuwamy się naprzód — ku olbrzymim możliwościom utrzymania pokoju, jakie rozmowy na najwyższym szczeblu otworzyły dziś przed ludzkością”.

Rzeczywiście możliwości te są duże i optymistyczne. Ale muszą być realizowane w praktyce politycznej. Od tej bowiem zależy, jak zostaną wykorzystane.

* * *

Bogaty tydzień polityczny zamknijmy przypomnieniem, że w sobotę w Bonn nastąpiła wymiana dokumentów ratyfikacyjnych układów ZSRR — NRF i Polska — NRF, co oznacza, że układy te weszły w życie.

Równocześnie ministrowie czterech wielkich mocarstw podpisali protokół końcowy porozumienia w sprawie Berlina zachodniego.

Minął więc tydzień otwarcia wielkich nadziei...

W. ŚLAWSKI

Zewsząd o wszystkim

Po ratyfikacji układów

„Głosy prasy światowej”

„L'HUMANITE” — PARYŻ

Układy — Moskiewski i Warszawski kładą kres odwetowemu i terytorialnemu roszczeniu i uzdrawiają sytuację w Europie. Po ratyfikacji układów z ZSRR i Polską nastąpią z pewnością nowe inicjatywy w kierunku zwolnienia europejskiej konferencji w sprawie bezpieczeństwa i współpracy.

„GAZETTE DE LAUSANNE” — LOZANNA

Ratyfikacja przez parlament zachodniemiecki układów z ZSRR i Polską jest punktem zwrotnym w zagranicznej polityce NRF. Osiągnięte pozytywne wyniki otwierają drogę do wprowadzenia w życie czterostronnego porozumienia w sprawie Zachodniego Berlina, sprzyjają zwołaniu ogólnoeuropejskiej konferencji w sprawie bezpieczeństwa i współpracy oraz rozmowom o redukcji sił zbrojnych.

„FINANCIAL TIMES” — LONDYN

Wyniki głosowania w zachodniemieckim parlamencie wywołały westchnienie ulgi po kilku tygodniach trwałego oczekiwania. Obecnie otwiera się droga do dalszego postępu w osłabieniu napięcia między Wschodem a Zachodem.

„II MESSAGERO” — RZYM

Ratyfikacja układów jest punktem wyjścia. Dzięki niej powinny zostać usunięte przeszkody, które blokowały proces rozładowania napięcia w Europie. Teraz, po

ratyfikacji, powinna nastąpić reakcja łańcuchowa w kwestii utrzymania pokoju.

„ARBEIDERBLADET” — OSŁO

Układy NRF z ZSRR i PRL zawierają gwarancje nietykalności obecnych granic w Europie, wyrzeczenia się użycia siły lub groźb jej użycia oraz wyrażają dążenie do pokojowego współistnienia i normalizacji stosunków między krajami.

„TIMES OF INDIA” — DELHI

Polityka przyjaźni ze Wschodem zwyciężyła. Wraz z ratyfikacją układów NRF z ZSRR i PRL znacznie polepszyły się perspektywy rozładowania napięcia w Europie, co bez wątpienia odpowiada podstawowym interesom narodów kontynentu.

„UNITED PRESS INTERNATIONAL” — NOWY JORK

Ratyfikacja przez zachodniemiecki parlament układów Willy Brandta z ZSRR i Polską, polepszyła sytuację międzynarodową. Zależał od niej cały szereg ważnych planów, zmierzających do zmniejszenia napięcia w świecie. Ratyfikacja układów oznacza, że polityka normalizacji i polepszenia stosunków Zachodnimi Niemcami z ich wschodnimi komunistycznymi sąsiadami może być kontynuowana. Ratyfikacja polepszyła także perspektywy jakiegoś kroku na drodze do normalizacji stosunków między dwoma państwami niemieckimi.

Sześćdziesiąt procent nadziei

„L'ESPRESSO” — RZYM

Już po raz trzeci udaje mi się przedostać drogą nr 3 do Tien Than, znajdującego się 60 kilometrów od Sajgonu. I widzę, że żołnierze sajsjoński znów się cofnęli: jeszcze wczoraj byli o trzy kilometry na północ od miasta, dziś — zajmują pozycje dwa kilometry na południe.

Front staje się coraz bardziej ruchomy. Tien Than jest teraz po prostu okrążoną placówką, która może paść w każdej minucie. 28 kilometrów na północ leży An Loc. Nad częścią miasta powiewa flaga Vietcongu, 30 kilometrów na południe leży Lai Khe, w którym znajduje się sztab 5 dywizji i baza śmigłowców, z której odbywają one wszystkie rajdy operacyjne w tym rejonie. Droga między Tien Than i Kai Khe jest praktycznie przzerwana.

Siły Narodowego Frontu Wyzwolenia Południowego Wietnamu kontrolują wszystkie okoliczne plantacje kauczuku. Nocami, saperzy wojsk wyzwolenieckich kopią głębokie doły pod asfaltem dróg i układają w nich miny. Dziś o świcie kolumna wojsk sajsjońskich wpadła w zasadkę. W małym szpitaliku w Tien Than nie starczyło łóżek dla rannych i wielu żołnierzy leży na podłodze przy samym wejściu. Gdy jednego z rannych chciałem sfotografować, policjant wojskowy zamierzył się na mnie kolbą karabinu. Ów ranny trafił pod koła dwóch uciekających transporterów opancerzonych, które wjechały, w idącą skrajem drogi, kolumnę wojsk południowowietnamskich, sięjąc wokół śmierć.

Na północ posuwa się droga szpica wojsk sajsjońskich;

rozkładu. Mówi się, że wielu południowowietnamskich żołnierzy, walczących na drodze nr 1, ma w kieszeniach niebieskie chorągiewki, którymi dają znaki żołnierzom Vietcongu, że chce przejść na ich stronę, jeśli walka przybera niepomyślny obrót. Dokądby teraz nie przyjechał w Południowym Wietnamie, do Cong Tum, do Hue, czy do Tay Ninh, wszędzie usłyszy się od południowowietnamskich oficerów, że właśnie tutaj jest skierowane główne uderzenie „przeciwnika” i że właśnie ich front ma pierwszorzędne znaczenie, zaś na pozostałych prowadzi się tylko działania opóźniające. Dzięki takiej taktyce sił Narodowego Frontu Wyzwolenia udało się rozdrobnić siły sajsjońskie i stworzyć wrażenie, że ataki Vietcongu mogą nastąpić w każdym miejscu. Ofensywa sił patriotycznych jednym uderzeniem sprowadziła do zera cały program „pacyfikacji”, prowadzony przez kilka ostatnich lat.

Tysiące ludzi, zmuszonych do opuszczenia swych domostw i zalewających obecnie szeroką falą Hue, są przekonane, że rząd sajsjoński nie jest w stanie ich obronić. W tej starej cesarskiej stolicy do dzisiejszego dnia nie widać paniki. Wygląd miasta, które było kiedyś perłą kraju, jest wstrząsający: zburzone starożytne świątynie przekształcono w biwaki dla żołnierzy, w ruinach zabytkowych budowli — śmiecie i ekskrementy, w małych jeziorkach pływają brudy i odpadki.

W Sajgonie liczba osób, które złożyły podania o utrzymanie wiz na wyjazd i paszportów zagranicznych, wzrosła czterokrotnie. Biedocie pozostaje tylko robienie zapasów ryżu, którego cena wzrosła, podobnie zresztą jak i innych produktów masowego spożycia. We wsłach wokół Sajgonu chłopcy, pod pozorem odnawiania domów, zamazują żółto-czerwone znaki, zrobione na polecenie władz dziesięć miesięcy temu, które miały świadczyć o „kontrolowaniu” wsi przez władze sajsjońskie.

Dziś nawet zawodowi optymiści zaczynają mieć poważne wątpliwości. „Mamy jeszcze 60 procent nadziei, że jednak armia południowowietnamska wytrzyma” — mówi pewien urzędnik na wysokim stanowisku. A za ledwie dwa tygodnie temu twierdził, że „siły komunistyczne poniosły ogromne straty”, że „ich drogi zaopatrzenia zostały zniszczone”, a sajsjońska wojska „wykazały wysoką bojową operatywność”.

Nowe ataki sił Narodowego Frontu Wyzwolenia rozwijały wszystkie te iluzje. Kolumny czołgów sforsowały rzekę Qua Viet i padła stolica prowincji Quang Tsi. Żołnierze południowowietnamscy, pozostawiając sześć 150-milimetrowych dział, opuścili w pośpiechu bazę „Bastogne”, która miała osłaniać Hue. Samoloty bombardujące przeprowadziły kilka nalotów, próbując zniszczyć utracone działa, ale na próżno.

Na Centralnym Plasko-wzgórzu jest całkowicie okrążony Cong Tum. 30.000 mieszkańców tego miasta znalazło się w kotle, w którym brak pożywienia i wody. Rząd sajsjoński nawet nie próbował ich ewakuować. Tylko rodzinom urzędników państwowych pozwolono wsiąść do śmigłowców, uciekających do Pleiku. O miejsca w śmigłowcach walczą rozpaczliwie dziesiątki żołnierzy, którzy porzucają swoje jednostki i uciekają na południe. „Główną bronią Vietcongu są nie tylko czołgi i artyleria, lecz także panika, która rozbraja sajsjońskich żoł-

nierzy” — powiedział pewien Amerykanin przebywający w Cong Tum.

Po miesiącu walk układ sił kształtuje się weale nie na korzyść wojsk sajsjońskich. Nie udało się im odzyskać ani jednego metra utraconego terytorium; albo się bronią, albo odступują, a niektóre centra prowincjonalne dosłownie tylko czekają na uderzenie Vietcongu, by natychmiast paść. Los tych miast może być rozstrzygnięty każdego dnia. Wysokie ryzyko, takiej sytuacji polega na tym, że — jak mówią w Sajgonie: „zostaną one zburzone w imię ocalenia”. Tutaj precyzyzacja się to z cyniczną otwartością: „Jeżeli Vietcong chce Cong Tum — dostanie go. Jesteśmy gotowi w każdej chwili zrównać go z ziemią”. Istotnie, rząd południowowietnamski ma tylko jedną nadzieję i jedną broń — „B-52” i „Phantom”. Ale żeby się nimi posługiwać, trzeba powziąć okrutną decyzję: zburzyć miasto. Ale i ta taktyka „spalonej ziemi” nie może powstrzymać naporu Vietcongu. Nawet bombardowania nie przeszkodzą, by Sajgon znalazł się na granicy bezwarunkowej kapitulacji. Obiekty bombardowania zbliżają się coraz bardziej do stolicy, natoli przeprowadza się na cele, znajdujące się już w promieniu 30 kilometrów od Sajgonu. Zdarza się, że pod bomby trafiają także wojska południowowietnamskie.

Rozkład wśród wojsk sajsjońskich zwiększa się z każdym dniem. Nie mogą one zrozumieć, o co się biją. Trzymają się tylko oddziały specjalne: piechota morska, grupy szturmowe i spadochroniarze.

Dywidze piechoty ponoszą ogromne straty. Według źródeł oficjalnych, liczba zabitych w pierwszym miesiącu operacji bojowych wynosi trzy tysiące ludzi, rannych — dziesięć tysięcy. „Liczby te, jako minimalne, należy podwoić” — mówi pewien urzędnik sajsjoński. Rezerwy, które rzuca do walki Thieu nie mogą zapelniać luk, powstałych wskutek strat i masowej dezercji. Rząd spli-traslił naprzód „dekret o amnestii”, na mocy którego zwolniono z więzień 7000 żołnierzy, odsiadujących wyroki za odmowę wzięcia udziału w walce. Wszystkich ich skierowano na front.

W takich strefach, jak delta Mekongu i prowincja Binh Dinh, tradycyjnie kontrolowanych przez Vietcong, na stronę przeciwnika przeszły nie tylko całe oddziały tzw. „samoobrony narodowej”, lecz także „wojsk regularnych”.

„Wietnamczycy pragną pokój” — mówi prof. Ton Thait Thien z uniwersytetu buddyzjskiego w Wan Han, który w 1968 rok był ministrem informacji w Sajgonie. — Ale przy Thieu pokój jest niemożliwy, on zanie w świecie nie nawładze rozmów z komunistami. Tymczasem uznanie komunistów w Południowym Wietnamie stało się koniecznością i mają oni pełne prawo mieć swoich przedstawicieli w parlamencie”.

Sytuacja polityczna jest bez wyjścia. Pewne rozwiązania znaleziono tylko w niektórych rejonach większych: stronnicy Vietcongu i miejscowi urzędnicy zawarli swego rodzaju układ o współistnieniu. „W prowincji Long Khan — opowiada pewien Europejczyk, przebywający tam już od kilku tygodni — w wielu wsłach, zaliczonych do „pacyfikowanych” tylko dlatego, że nie toczy się tam walka, w rzeczywistości sprawuje władzę Narodowy Front Wyzwolenia wespół z przedstawicielami władz sajsjońskich”.

Zewsząd o wszystkim

O SPRAWNĄ ADMINISTRACJĘ

Ponieważ o pracy administracji pisałem już nie raz, przeto nie będę się powtórzał. W tym dziale, o którym sporo pisano w ostatnich czasach. Czy Czytelnicy, którzy wystąpili kiedykolwiek w roli petentów, uważają za zmiany na lepsze?

Najbardziej czułym społecznym termometrem działalności administracji jest sam styk na gruncie: obywatel — urząd. Jakie więc są główne kierunki zmian w działaniu administracji w Łodzi? Z tym pytaniem zwróciłem się do przewodniczącego Komisji Usprawnienia Administracji w Łodzi, mgr **Leona Sidorenko**. Jego właśnie uwagi i dane posłużyły za materiał do tego artykułu.

Prezydium Miejskiej Rady Narodowej ustaliło szczegółową listę około 70 rodzajów spraw, które należy załatwić w najkrótszych terminach, z reguły w ciągu

jednego dnia, „od ręki”. Należy podkreślić, że kodeks postępowania administracyjnego przewiduje najczęściej dwumiesięczny termin załatwienia spraw, niestety, do ostatniego dnia wykorzystywany przez administrację. Zgodnie z zaleceniem władz centralnych, wszędzie tam, gdzie obywatel w trakcie załatwiania sprawy okaże potrzebny dokument, urzędnik z przedłożonego dokumentu powinien sporządzić adnotację. Wystarczy, na przykład, okazanie skróconego odpisu aktu urodzenia, a nie dopinanie go do akt i wędrowki po drugi, niezbędny z kolei w innym urzędzie.

Podobnie zniknie „zmora” zaświadczeń o miejscu zamieszkania lub z miejsca pracy. Wystarczy w tym wypadku okazanie dowodu osobistego z odpowiednim wpisem. W szeregu wypadków, o zaświadczenie, bądź potwierdzenie przez jakąś instytucję określonej okoliczności,

wnien zabiegać sam urząd, a nie petent-obywatel, z którego robiono dotąd gońca. Informacje czerpie zainteresowany urząd (często telefonicznie) i sam sporządza odpowiednią adnotację w aktach.

Dużym usprawnieniem w specyfice łódzkiej jest walka z przeformalizowanymi tendencjami pracy administracji, przejawami biurokratyzmu, najbardziej krytykowanego przez społeczeństwo. Jeżeli więc jakiś fakt wynika z logicznego sposobu z jednego zaświadczenia, to nie żąda się zaświadczenia, stwierdzającego fakt pierwotny, na przykład po okazaniu dyplomu ukończenia wyższej uczelni nie należy żądać świadectw ukończenia szkoły podstawowej.

U podstaw tych zmian leży wiara w odnowę zaufania między urzędem a obywatelem. Dotychczasowe błędy w organizacji, sposobie pracy urzędów, traktowaniu petenta jako intruza, mówiącego nieprawdę, doprowadziły do naruszenia zaufania i fatalnej opinii o pracy administracji. Część z tych usprawnień wynika nawet nie z reorganizacji pracy, ale z zdrowego rozsądku i obdurokratyzowania. Wreszcie, należy podkreślić fakt, że administracja w naszym ustroju spełnia rolę służebną w stosunku do społeczeństwa, a co za tym idzie, każdy obywatel — petent jest przedstawicielem władzy.

Pierwsza kontrola efektów tych zasadniczych zmian, przeprowadzona wiosną tego roku, wykazała generalne przestrzeganie nowych posunięć w organach administracji. Dostrzeżono przy tym ciekawy skutek tych zmian: znaczne zmniejszenie ilości zaświadczeń, ściąganych drogą służbową. Jest to jeszcze jeden dowód dotychczasowych niezdrowych nawyków, braku zaufania do społeczeństwa, asekuranctwa i wygodnictwa.

Inną istotną sferą usprawnień administracji w interesie petenta, jest weryfikacja wszystkich formularzy i druków. Przeprowadzono ją w roku 1966 oraz 1971. Ta ostatnia była szczególnie owocna. Zlikwidowano m. in. druki, których nie mogli wypełnić nawet „najmądrzejsi”. Państwowy Komitet Racjonalizacji Druków na szczeblu centralnym uznał w ubiegłym roku, że w tej dziedzinie sytuacja jest opanowana. Niemniej okazało się, że istnieje pewna siła bezwładności oparta na przekonaniu, że urząd się zmienia, a druk zostaje.

Największą przeszkodą sprawnej pracy administracji jest fakt różnorodności i ilości obowiązujących aktów prawnych. W 1971 roku Prezydium Rady Narodowej m. Łodzi skierowało do władz centralnych ponad 300 wniosków w sprawie uchylecia lub zmiany przepisów utrudniających pracę. Na szereg tych wniosków otrzymano już odpowiedzi, a pozostałe czekają na generalne rozwiązanie w skali ogólnokrajowej. Warto podkreślić, iż po kilku miesiącach tej skomplikowanej pracy, w marcu br., Prezydium RN m. Łodzi wydało obwieszczenie o pozostawieniu w mocy około 480 aktów prawnych oraz o uchyleciu ponad

700 aktów, co stanowi aż... dwie trzecie tzw. „prawa powielaczowego”.

Proces weryfikacji aktów prawnych był szczególnie trudny, ze względu na nazbyt liczne przepisy. Nie wystarczyło tylko samo usunięcie konkretnego aktu, ale należało także ujednolicić i stworzyć ogólne dyrektywy załatwiania pewnych rodzajów i grup spraw.

Kierunki tej aktualnie trwającej „reformy” łódzkiej administracji zostały określone m. in. dzięki rozpisaniu w 1971 roku otwartemu konkursowi na ujawnienie przejawów biurokratyzmu i niepotrzebnej mitręgi administracyjnej. Plonem konkursu było ponad 100 rzeczowych wniosków, dotyczących pracy łódzkiej administracji.

Oczywiście, nawet najdoskonalsze reformy i usprawnienia nie są w stanie zmienić faktu, że decydującym ogniwem stosunków „obywatel — władza” jest właśnie urzędnik. Od sposobu jego pracy zależy najwięcej.

Na terenie Łodzi przeprowadzono badania ankietowe, które objęły dwa tysiące pracowników administracji (58 pytań, 250 wariantów odpowiedzi). Opracowane wyniki ankiety potwierdzają słuszość wcześniejszych spostrzeżeń i wskazują na pewne charakterystyczne tendencje, odnoszące się do kadr administracyjnych. Stopień emocjonalnego powiązania z wykonywaną pracą jest bardzo różny, a to jest czynnik decydujący (obok fachowości i przygotowania) o efektach każdej pracy, w stosunkach między ludźmi szczególnie odczuwalny. Oto zasadnicze wyniki ankiety:

- znaczna część pracowników administracji nie traktuje swojej pracy jako wykonywania zawodu;
- olbrzymia większość ankietowanych podkreśla potrzebę ścisłego powiązania wyników pracy z wynagrodzeniami;
- dalsze kierunki ulepszeń wymieniane najczęściej, to: uproszczenie przepisów, uczynienie je bardziej przejrzystymi, większa mechanizacja, nowoczesne sprzętowanie pracy, racjonalizacja struktur organizacyjnych.

Jest faktem, że przemysłowa Łódź nie ma takich tradycji zawodów administracyjnych, jak np. Kraków czy Poznań, ale nie do pomysłenia jest fakt, iż naturalna fluktuacja kadr administracyjnych w Łodzi wynosi przeciętnie aż 20 proc.! Taki stan rzeczy jest odczuwalny przede wszystkim przez interesantów i szkodliwy z punktu widzenia interesów państwa. Powstaje więc problem nie tylko szkolenia kadr pracowników administracji, lecz również dążenie do podniesienia prestiżu społecznego urzędnika, jego rangi.

Wielką rolę mogłyby tu odegrać skoordynowane poczynania Wydziału Prawa i Administracji, Wydziału Socjologiczno-Ekonomicznego oraz Zawodowego Studium Administracyjnego Uniwersytetu Łódzkiego.

Niedawno pewien aktor wystąpił z publicznym protestem przeciwko recenzentowi, który napisał, że artysta nie udźwignął roli. Chodziło tu akurat o dobrego aktora, więc ta drażliwość nie wynikała z jakichś kompleksów i frustracji. A zatem w przekonaniu owego dobrego aktora (a być może także jego środowiska) negatywna ocena jednej kreacji podważa w jakiś sposób całość twórczych dokonań artysty. Jest to, oczywiście, przekonanie błędne, bowiem porażki w życiu i pracy stanowią integralną część obecności twórczej każdego z nas.

Podaję ten przykład na wstępie rozważań o ocenach, bowiem wydaje mi się dość charakterystyczny dla poparcia tezy o wyjątkowej i dość banalnej. Otóż każda ocena negatywna budzi sprzeciw ocenianego. Prawda to stara jak świat. Jest wszakże w praktykowanym systemie ocen coś, co nazwałbym grą pozorów. Dla zachowania owych pozorów należało, jak niektórzy sądzą, przemilczeć jednostkową porażkę, aby nie psuć obrazu całości.

Nie na tym jednak polega owa gra pozorów w ocenach. Wykraczając daleko poza teatr, dostrzegamy bowiem, że istnieje zjawisko odwrotne. Pozór działania, sukcesy drobne, nieistotne, ale efektowne rzutują nieraz na ocenę całości działania człowieka, instytucji, branży...

Kiedyś takie działania na efekt nazywano fasadowością. Dziś określenie wyszło z użycia, ale jakże

często stroi się fasady w barwne szatki, gdy jednocześnie na zapleczu fasad straszą ściany pokryte liszajem odpadających tynków. Dzieje się to na zasadzie gry pozorów — wzrok zatrzyma się na kolorowych fasadach, nie sięgnie już głębiej do zaniedbanych oficyn. Można więc przypuszczać, że i ocena będzie pozytywna, oparta na pierwszym (i powierzchniowym) wrażeniu.

JERZY WILMAŃSKI

Ocena czyli gra pozorów

Przykłady kolorowych fasad i zaniedbanych oficyn są tu oczywiście symbolem, metaforą i — jak piszą autorzy powieści — „wszelkie podobieństwo do rzeczywistych faktów jest tu absolutnie przypadkowe i stanowi fikcję literacką”. Ale owa metafora i ów symbol oddają jakąś część rzeczywistej prawdy o grze pozorów.

Jest jedno zło, że pozorne dzia-

łania dają pozorne efekty. Ale jest i drugie zło, że owe pozorne działania czynią rzeczywiście szkody społeczne. Tym dotkliwsze, że dokonane w sferze świadomości.

Oto z wielką pompą, z udziałem najważniejszych osobistości odbywa się w jednym z podłódzkich miasteczek otwarcie basenu. Słońce świeci, lśni woda, młodzież nurkuje inauguracyjnie.

farsy, wystawiła dobrą ocenę na podstawie tego, co na własne oczy widziała.

W wielu łódzkich fabrykach urządzenia sanitarne, także niektóre pomieszczenia produkcyjne, przedstawiają wiele do życzenia. Ale gdy ma przyjechać minister, dyrektorzy osobiście nadzorują sadzenie kwiatków.

Nie jestem przeciwko kwiatom, proszę mnie nie łapać za słowa. Jestem przeciwko grze pozorów.

Wiem, że stosując reguły owej gry, szybciej można zarobić dobrą ocenę. W sumie to jednak się nie opłaca. Kwiatki zwiedną, farba się złuszczy i efekciarstwo wyjdzie na jaw. A pozostaną te wszystkie rzeczywiście braki i usterek, których nie usunięto we właściwym czasie.

Teraz pytanie: Czy skłonność do efektownych gestów na pokaz, to właściwość natury ludzkiej, czy też tkwią w tym zjawisku jakieś inne przyczyny? Myślę, że tkwią. Myślę, że w wielu dziedzinach życia nie wypracowaliśmy sobie jeszcze rzetelnych, niezawodnych kryteriów oceny człowieka i jego pracy. Że skazani jesteśmy na subiektywizm, na „pierwsze wrażenie”.

Jako publicysta mogę się oburzać, ale tak zwyczajnie, po ludzku, rozumiem przecież dyrektora, którego nie obchodzi marazm i brak szerszej działalności k.o. w przykładowym klubie. Ów dyrektor ma bowiem dobry zespół estradowy, który zdobywa nagrody, występuje na akademiach.

Według sukcesów tego kilkunasto-osobowego zespołu oceniany jest dyrektor — pisze się o tym w sprawozdaniach, wiesz się dyplom w gabinecie. W ten sposób działalność kulturalno-osiwiatowa zakładu jest efektywnie odfajkowana. A, że kilkuset innych ma mocno ograniczony wstęp do klubu? No, cóż, to są już owe symboliczne oficyny, tego się nie dostrzega w ocenie, kolorowa fasada zespołu przesłania obraz prawdziwy.

Podobnie jest w sporcie, gdzie kluby preferują sekcje wyczynowe i wyczynowców, bo oni pracują na ocenę zarządu i protektora. Gorzej, ten obyczaj przenosi się i na szkoły, gdzie często kosztem ogólnego wychowania fizycznego wszystkich uczniów, preferuje się grupy uzdolnione sportowo, wygrywające zawody, zdobywające dyplomy...

Puste narzekanie nic tu nie da. Trzeba zacząć od kryteriów ocen; aby nie były one wynikiem fascynacji efektownym gestem. Aby zręczna gra pozorów nie była najłatwiejszą, najbardziej skuteczną drogą do uzyskania dobrej oceny. Oczywiście wiem, że każda ocena musi zawierać elementy subiektywnych odczuć ocenianego. Jeśli to jednak będą tylko elementy, to tak ferowane oceny rzadko wzbudzą śmiech otoczenia w wypadku „piątki” i rzadko wywołają irytację ocenianego w wypadku „dwójki”. Spisując te refleksje o tym przecież myślę: o podniesieniu rangi ocen ludzkiego działania.

Starsi działacze kulturalno-oświatowi, wracając myślą do lat minionych, zawsze z dużym sentymentem wspominają powoływanie do życia bibliotek związkowych. A były to zwykle pierwsze stałe placówki, jakie tuż po wojnie starano się zorganizować niemal przy każdym zakładzie pracy.

Tak było i w Łodzi, i gdzie indziej. Początkowe zbiory bibliotek powstawały przeważnie z książek przyniesionych przez ludzi z domu, książek chronionych pieczołowicie w mrocznych latach okupacji. Od początku też, w szerokim nurcie poczynań kulturalno-oświatowych książkę starano się nadać rangę jak największą, udostępniając ją coraz większej liczbie ludzi w środowiskach pracy.

Ideowa postawa bibliotekarzy, ich codzienny umiędzynawczy wysiłek w ciągu wielu lat sprawiły, że biblioteki przyzakładowe stały się jednym z najbardziej trwałych i stałe żywych ognisk oddziaływania kulturalnego na załogi. Tak było, i jest, dzięki temu, że bibliotekarze rozwijają różne formy pedagogiki bibliotecznej; wypożyczają książki na miejscu, docierają z nimi częstokroć do ludzi stojących przy warsztacie pracy, propagują książkę poprzez spotkania z autorami, wystawy, konkursy, odczyty, organizują kola przyjaciół bibliotek itp. Wychodzą więc naprzeciw określonym potrzebom kulturalnym ludzi, rozbudzają w nich zarazem zainteresowania nowe i ciekawość spraw jeszcze nieznanymi. Dzięki temu biblioteki są także miejscem żywych kontaktów ludzi oraz ich wspólnych przeżyć i myśli.

Wszystko to miało wpływ na stopniowe zwiększanie zasięgu czytelnictwa wśród załóg przemysłu włókienniczego. Warto wspomnieć, że w okresie minionego dziesięciolecia liczba czytelników włókienniczych bibliotek w Łodzi wzrosła prawie dwukrotnie. Ostatnio z 57 bibliotek oraz 47 punktów bibliotecznych korzysta ponad 34.436 osób, tj. 26,6 proc. ogółu pracujących. Dość wysoka jest też przeciętna liczba wypożyczeń przypadająca w ciągu roku na jednego czytelnika, wynosi ona bowiem 19,1. Wśród ogółu czytelników większość (63 proc.) stanowią robotnicy, pozostali natomiast, to pracownicy umysłowi i emeryci — weterani pracy, utrzymujący kontakt z macierzystymi zakładami.

Biblioteki związkowe nie są oczywiście dla włókienników jedynym źródłem wypożyczenia książek. Czytają oni również książki z rejonowych bibliotek publicznych, bibliotek szkolnych, od znajomych. Nasze badania nad warunkami bytu 4-osobowych rodzin włókienników wskazują, że prawie połowa z nich posiada również własne zbiory książek, liczące od kilku do kilkudziesięciu pozycji. Jak na tym tle przedstawia się zasięg czytelnictwa wśród włókienników? Odnośnie tego zagadnienia nie posiadamy wyczerpujących danych statystycznych. Nasze ostatnie badania ankietowe wskazują natomiast, że kontakt z książką utrzymuje 63 proc. robotnic i 75 proc. robotników, a spośród emerytów 56 proc. osób. Warto przy tym wspomnieć, że badania prowadzone przed dziesięcioma latami wykazywały niższe odsetki czytelników książek wśród włókienników i włókienniczek łódzkich.

Można więc stwierdzić, że w zainteresowaniach kulturalnych włókienników książka zajmuje jedno z ważnych miejsc, spełnia niemałą rolę w czasie wolnym, jaki pozo-

JÓZEF MARCZAK

KSIAZKA WSPÓŁCZESNA WŚRÓD WŁÓKNIARZY



Fot E. Kudaj

staje do ich dyspozycji. Jest to pozytywne zjawisko z różnych punktów widzenia. Książka była dawniej i jest dziś jedną z głównych dróg łączących ludzi z do-robkiem w dziedzinie kultury. Ale faktem o szczególnej wadze jest to, że czytelnictwo jest formą aktywności umysłowej człowieka, jego samorzutnych poszukiwań, doznań i przeżyć, czytelnictwo, uprawiane systematycznie staje się częstokroć podstawą samokształcenia człowieka, rozwoju jego osobowości.

Ludziom, którzy biorą książkę do ręki, towarzyszą różne motywy i wielorakie oczekiwania. Zaczynają się przy tym różnice, zależne od pici i wieku. A oto pewne, bardziej charakterystyczne tendencje i przykłady: zwłaszcza u mężczyzn występuje ciągle żywe zainteresowanie książką ukazującą dzieje naszego narodu w okresie ostatniej wojny światowej, walki żołnierza polskiego na różnych frontach, oddziały partyzanckie, obozy koncentracyjne i jenieckie. Często też poszukiwane są książki

takie, jak: „Wrzesień” — J. Putramenta, „Medaliony” — Z. Nal-kowskiej, „Popiół i diament” — J. Andrzejewskiego, książki o pol-skich lotnikach — J. Meissnera, „Kolumbowie rocznik 20” R. Brat-nego, „Kamienie na szaniec” — A. Kamińskiego, „Dymy nad Bir-kenau” — S. Szmaglewskiej i wiele innych.

O czasach tych tak mówi jeden z czytelników: „Przeżyliśmy jedną z największych tragedii naszych czasów i czytamy ze szczególnym zainteresowaniem o losach i dzie-jach bohaterów, którzy walczyli z faszystem i którzy ten faszystę pokonali”.

Wśród włókienniczych zaś szczegó-lnie poczytne są powieści i opo-wiadań obyczajowe. Dominuje tu potrzeba wiedzy o sytuacjach rzeczywistych, a także o modelu życia ludzi np. w kręgu rodzin-ym, grupie rówieśniczej, zespo-le pracowniczym, zabawie, wypo-czynku itp. Poszukuje się tu tak-że realizacji marzeń o lepszym życiu. I tu wskazać można sporo pozycji współczesnych, branych często do ręki przez włókienniki. A oto niektóre z nich: S. Flesza-rowa-Muskat — „Lato nagich dziewcząt” i „Kochankowie róży wiatrów”, M. Kuncewiczowa — „Cudzoziemka”, E. Pauksza — „Wszystkie barwy codzienności”, T. Breza — „Spizowa brama”, „U-rząd”, J. Koprowski — „Dom na wzgórze”, D. Bięnkowska — „Ży-cie bliźniego twego”.

Jedną z czytelników tak oto wy-raza motywy zainteresowania tego rodzaju książkami: „Chętnie czy-tam o dzisiejszym życiu. Ciekawi mnie, jak żyją inni ludzie w na-szym kraju, jakie mają radości i kłopoty. Porównuję to z moim ży-ciem”.

Wśród czytelników niemałą gru-pę stanowi młodzież i ona poszu-kuje książek bliskich jej wyobraź-ni i dążeń. Młodzież ciekawą zwłaszcza pozycje wydane niedawno. Wspomnieć tu można przede wszystkim o następujących książkach: „Wczorajsza młodość”, „Dziewczeta szukają drogi”, „Tan-cerze” — E. Jackiewiczowej, „Fo-toplastik”, „Ludzie jak wiatr” — K. Sieleckiej, „Spotkałem szczęśliwego Indian” — A. Fie-dlera i inne.

Bibliotekarze związkowi prowa-dzą także stałe działalność, służą-cą upowszechnianiu książki popu-larno-naukowej, tak przecież po-trzebnej w warunkach współcze-snego życia. Starają się przy tym poznawać potrzeby swych śro-dowisk, poziom i aspiracje czytelników i odpowiednio do tego do-bierać książki. Liczba czytelników tego rodzaju wydawnictw stale się powiększa. Z tego działu wypożyczane są często pozycje z różnych dziedzin wiedzy, porad-niki, pamiętniki ludzi reprezentu-jących niektóre zawody, np. lekar-zy, inżynierów. Chętnie czytane są książki, np. M. Kozakiewicza — „Paradoksy młodzieży”, J. Zabiń-skiego — „Gawędy o zwierzętach”, B. Orłowskiego — „Przygody pio-nierów cywilizacji”, J. Gadom-skiego — „Powstanie kosmosu i jego życie”, R. Pumpiańskiego — „Higiena w życiu kobiety” I. Gu-morskiej — „Życie bez starości” itp.

Należy wrócić wspomnieć, że włókiennicze szukają także w książkach rozrywki, fantazji odrywają-cych od codzienności. Chętnie też biorą do ręki książki sensacyjne, sentymtalne, podróżnicze i hu-morystyczne. Jak sami twierdzą „wiele książek wzbogaca duszę i pomaga żyć”.

ÓK
z
książkami

ATLANTYDA

Od czasów bestsellera Ce-rama „Bogowie, groby i u-czeni” oraz „Gdy słońce by-lo bogiem” Kosidowskiego, nie czytałem książki równie pasjonującej, co „Atlanty-da” Ludwika Zajdlera. Au-tor, podpierając się obficie literaturą naukową, pisze o lądzie na Oceanie Atlantyckim (a może na Morzu E-gejskim?), który zniknął przed tysiącami lat w od-mętach wód. Co spowodowa-ło katastrofę lądu, które-go mieszkańcy osiągnęli stopień cywilizacji porówny-walny z naszym. A może zresztą wykraczający poza nasze wyobrażenia i osią-gnięcia?

Ludwik Zajdler nie for-muluje kategoriycznych odpo-więdzi, raczej stawia pyta-nia i prezentuje różne mo-żliwe warianty. Spór o A-tlantyde trwa od Platona, od przeszło dwóch tysięcy lat, więc pewno trwał bę-dzie jeszcze lat parę. Ale Atlantyda istniała — wierzy w to autor i tę wiare, mi-mo obiektywnych relacji, potrafił przekazać czytelnikowi.

Po prostu trudno uwie-ryzić, żeby mylił się Platon i trudno uwierzyć, że myliło się po nim 25 tysięcy auto-rów książek, napisanych na temat Atlantydy. Oczywiście 25 tysięcy książek to litera-tura naukowa — nie liczę tu wszelkich science-fiction na ten temat.

Książka Ludwika Zajdlera jest pasjonującą lekturą dla ludzi z fantazją, dla tych, którzy nie uznają końskich okularów utartych formulek i teorii.

J. W.

Ludwik Zajdler „ATLANTY-DA”, Wiedza Powszechna 1972.

RYSZARD BINKOWSKI

NIE WIERZCIE MACOCHOM...

P rzez zielonozłoty cieś parku przebiegają dzie-ci, niosąc w oczach, twarzach majowe słoń-ce, śmiech, radość. Niech pan idzie do parku. Zobaczy pan maturzystów pochylonych nad podręcznikami i starszków plawiących twarz w słońcu;

zakończonych poznających się dotykami dłoni, oburącznych mańkutów, którzy w uge-stwionych zakamarkach walą dłońmi w dna butelki sikacza, przycinając w pokera.

A kiedy się pan już dobrze rozeeży w tym nieznanym, rozrzuconym po ławkach mro-

wiu, szukających w parku szerszego oddechu, dostrzeże pan ławkę ukrytą za krzewami jaśminu, a na ławce dziewczynę. Dziecko prawie, drobniutkie, jasnowłose, jakby wyleknięte. Niech pan do niej podejście, lecz nie pyta o wagary. Może się wystraszyć. Ale o ten smutek, o to wyleknięcie można ją zapy-tać.

Zrazu będzie skubać nerwo-wo jaśminowe listki, chylić głowę, milczeć. Ale jeśli do-brze pan ją zażyje, ciepło i serdecznie, to powie... I niech się pan nie dziwi, ona ma zaledwie piętnaście lat, że będzie to pompatyczne, peł-ne egzaltacji. Co należy zro-bić, zapyta, kiedy życie jest podle, jeśli jest okrutne. Człowiek nie może tak żyć, nawet w dwudziestym wieku. To jest potworne, tak, po-tworne... Nieraz ma się ochotę, wielką ochotę odkręcić gaz...

Ona panu jeszcze powie, że lubi zapach gazu, że wie, iż to nie potwora długo... ale boi się... Bo nie chce umrzeć przez macochę. Kocha życie

i pragnie je zmieniać na lep-sze. Chce walczyć o dobro-dzieci wietnamskich, odda ży-cie za Angéle Davis...

Proszę, niech pan przyjmie to z powagą. Niech pan stłu-mi w sobie śmiech i spyta, skąd u niej tak czarne myśli na przedwiosniu życia. Jeśli panu uwierzy, to powie, wy-spowiada się z całego szcze-nięcego życia. A powie tak:

— Nie pamiętam twarzy matki, nie znam dotyku jej ręk, zapachu włosów. Ale za-pewne pochylała się nade mną, brała w ramiona. Widzę ze starej fotografii. Moja ma-ma umarła, gdy miałam rok...

Wychowywała mnie babcia. Przez dwanaście lat przeby-wałam w jej małym pokoi-ku, pachnącym naftaliną i długo przetrzymywanym w blaszanym pudle chlebem. Babcia była dla mnie dobra, ale biedna. Ojciec pobierał rodzinne, lecz nawet tej nie-wielkiej sumy nie dawał bab-ce. Nie miałam zabawek, je-dynie szmacianą lajkę, którą uszyła mi babcia.

Dziś wiem, że zaraz po śmierci mamy ojciec sprowa-dził tamtą do domu. Mógł się swobodnie czuć, bo ja byłam u babci. Znali się od 12 lat, z miejsca pracy. Byłam spragniona dotyku matczynej ręki, jej uśmiechu, ciepłego słowa, toteż chętnie chodziłam z nią i ojcem na spacer. Była wy-soka, smągła, zupełnie inna, aniżeli matka, której obraz utrwalił się w mojej pamięci z opowiadań babki.

Tak trwała do dziesiątego roku mojego życia. Potem oj-ciec popadł w „luksusowe” towarzystwo. Wódka i bimber, pijane noce, stare i młode kobiety. Skończyły się spacer-y... Ty stara k... krzychał na nią ojciec, ty mi życia nie zwiążesz! Takich jak ty, mam co dzień inna. Nie chcę cię znać, rozumiesz?

I wtedy Ona przyszła do mnie. Zaprzyjaźniłyśmy się. Mówiła: Aneżko, ty chciała-bys mieć matkę, rodzinę, wła-sny dom, prawda? Możesz to wszystko mieć, ale musisz mi pomóc. We dwie zrobimy wie-le, twój wpływ na ojca bar-dzo się liczy.

Uwierzyłam jej i zgodziłam się. Miałam dwanaście lat i wiele już zrozumiałam. Ra-zem walczyliśmy o to, aby ojca wyciągnąć z kumpelstwa, z tej śmierdzącej meliny pi-jackiej. Dziesiątki razy, z ser-cem podchodzącym do gar-dła, na drżących nogach pod-chodziłam pod ten parszywy dom. Pokonując lęk, pamięta-jąc o Jej zapewnieniach, wcho-dziłam do tamtego mieszkania. Byłam przerażona. Ciemno od dymu, smród, bu-telki wódki, pijane pary na łóżkach, pijane pary na łóżkach, pijane pary na łóżkach. I mój ojciec... Kłął, kop-niakiem zrzucał mnie ze scho-dów. Czasem dawał się uprosić i wracał. A Ona już cze-kała w bramie, lub na ulicy. Wspólnie prowadziliśmy pija-nego ojca do domu. Wstydzi-łam się tego pijanego ojca, ale przecież szło nam o przy-szły wspólny dom...

Pytam dziś, dlaczego dałam się nabrać na Jej czule sło-wa? Ulegałam Jej prośbom i o godzinie 22, drząc z zimna i strachu, szłam ciemnymi ulicami pod zakład pracy ojca, albo do meliny. Stawałam się



Fot. I. Toth

KAROL BADZIAK

CHŁOP PACJENTEM JEST I BASTA

W zeszłym roku miały być dwa dni wsi polskiej. Było to wydarzenie doniosłe i oczekano wielu pięknych komentarzy, więc dziś można już skupić się tylko na tym, jak zostało wprowadzone w życie.

Czy służba zdrowia zdała swój wielki egzamin?

Bądź co bądź, przyjęła pod swe opiekunice skrzydła 6,5 miliona nowych, potencjalnych pacjentów. Co prawda o pacjentach tych, ludowa legenda głosi (a może to jest raczej miejski mit), iż odznaczają się tzw. chlopską krzepą. Krzepę tę, niestety, można między bajki włożyć, albowiem w świetle statystyki okres trwania życia na wsi jest krótszy niż w mieście, wyższe są natomiast wskaźniki liczby zachorowań i chorób. Jednym słowem wieś jest pod każdym względem mniej zdrowa niż miasto. Inna sprawa, że chłopi do tej pory unikali lekarza, lekarz z kolei unikał wsi. Choć przynależało im, że jak już osiadł na stałe, to tak mocno, że często nie można go było skłonić do wyjazdu nawet na kilkudniowe szkolenie zawodowe. Widocznie miał ku temu swoje powody. Obecnie, po wprowadzeniu powszechnego ubezpieczenia, lekarze chętniej opuszczają na krótki okres swoich pacjentów. Przewiduje się w przyszłości dla każdego wiejskiego ośrodka zdrowia etaty dwóch lekarzy i dwóch stomatologów oraz większą ilość personelu średniego. Ponadto choć jeden samochód osobowy do wizyt domowych, któ-

ry na razie mógłby służyć dwóm — trzem ośrodkom w terenie.

Ale to są marzenia, muzyka przyszłości. A na razie — brak jest jednak na wsi lekarzy i pielęgniarów i w ogóle za mało mamy ośrodków zdrowia. No, a do osiągnięcia stanu idealnego jest chyba jeszcze dość daleko. Województwo łódzkie szczególnie było upośledzone jeśli chodzi o transport sanitarny oraz mieszkania dla lekarzy, nie wspominając już o złym stanie technicznym istniejących ośrodków zdrowia i o braku dostatecznej ilości szpitali. W Łódzkiem wskaźnik lekarzy medycyny na 10.000 ludności wynosi 9,7 — przy krajowym — 15,1; natomiast pielęgniarów — 22,9 przy krajowym — 31,5. I właśnie w tej dość trudnej sytuacji przybyło wojewódzkiej służbie zdrowia 350.000 nowych podopiecznych, z których wiele w ostatnim czasie odkładało leczenie, wychodząc z założenia, że „choroba nie ucieknie”.

Wprowadzenie bezpłatnej opieki spowodowało wzrost usług lekarskich o około 50 proc. Wizyty domowe wzrosły o 62 proc., opieka specjalistyczna o 20 proc., lecznictwo zamknięte — o 11 proc.

Tak więc cała społeczna służba zdrowia na wsi znalazła się w dość przymusowej sytuacji. Kierownik Wydziału Zdrowia i Opieki Społecznej, dr Henryk Maciejewski, zapewnił mnie, że służby medyczne wyszły z tej akcji zwycięsko. W szpitalach konieczność ta wpłynęła nawet pozytywnie na organizację pracy. Ufam, że tak się stało rzeczywiście i nie

mamy tu do czynienia z jakimś programowo-urzędowym optymizmem. Po prostu pracownicy służby zdrowia podwoili swe wysiłki, gdyż rezerw tu raczej większych nie było. Zresztą jest to zjawisko bardzo charakterystyczne dla naszego lecznictwa, że w okresie spokoju, stabilizacji i zastój pracy ono dość opieszale, raz lepiej, raz gorzej, słowem — normalnie, ale gdy tylko powstanie sytuacja wyjątkowa, jakaś mała plaga, jakaś epidemia, natychmiast nadsza służba zdrowia dostaje skrzydeł. Następuje mobilizacja energii, ludzie pracują z poświęceniem, ofiarnie, z większą inwencją i zmysłem organizacyjnym, odrzucając gdzieś w kącie biurokratyczne nawyki. Tak było i w tym wypadku. Jakiś tęp, bardzo tęp urzędnik, zobowiązał chłopów do przedstawiania lekarzom zaświadczeń z gromadzkich rad. Rzecz zrozumiała, nie wszyscy pacjenci o tym wiedzieli, niektórzy zapomnieli; i tu trzeba zapisać na dobro lekarzy, że w większości nie zwracali uwagi na tę formalność, przyjmując chorych uprzejmie, życzliwie i serdecznie, bez owych zbyt licznych świstków. Nie było również większych oporów natury merytorycznej, wypróbowany personel służby zdrowia przyjął zwiększenie obowiązków z pełnym zrozumieniem, wykazując wysoki stopień obywatelskiej świadomości. Z przyjemnością odnotowuję, że pracownicy służby zdrowia na wsi zdali jeszcze jeden trudny egzamin.

Wbrew przewidywaniom chłopów nie ruszyli z wielkim impetem do lekarza. Po pierwsze obca im jest

na razie hipochondria, po drugie nie potrzebują zwolnień z pracy, po trzecie — brak nawyku. Chłop idzie do lekarza, gdy już naprawdę bardzo źle się czuje i jest bardzo ciężko chory. Przynajmniej tak było dotychczas. W ciągu pierwszych sześciu miesięcy działania nowej ustawy zdarzyło się zaledwie kilka zbędnych wezwań pogotowia ratunkowego. Tylko jeden przypadek miał charakter wyjątkowy. Przyszedł wieśniak do pogotowia z prośbą, żeby pojechało szybko do żony, która rękem o rądzę. Po przyjeździe do wioski okazało się, że żona wcale nie miała zamiaru rodzić, chłop zaś chciał przejechać się tylko karetką.

W pierwszych tygodniach dużo było zgłoszeń do operacji przychodni. To jest właśnie ta „choroba, która nie ucieknie”. Jedną z poważniejszych wiejskich kłeszk są urazy rąk, ucięte lub zmiażdżone palce przez różne kosiarki i żniwiarki czy koparki. Okaleczeń tego typu jest ponad wszelką miarę i niezbędna tu jest profilaktyka choćby w postaci pogadank i odczytów. Rolnicy zbyt wolno oswajają się z wszelkim sprzętem technicznym. Wydaje się, że szkoła wiejska mogłaby tu sporo dobrego uczynić. Podobnie zresztą rzecz wygląda z wszelkimi środkami chemicznymi, sztucznymi nawozami i pestycydami. Notuję się ostatnio zbyt duża ilość

zatruciu ludzi i zwierząt tymi środkami.

Zawodową chorobą rolników jest natomiast reumatyzm. Lekarze związani ze wsią postulują nawet ogłoszenie chorób reumatycznych chorobami społecznymi.

Osobiście uważam, że trudniejszy okres dla służby zdrowia na wsi dopiero nadejdzie. Na razie ludność wiejska jest zadowolona z samego faktu wprowadzenia bezpłatnych świadczeń leczniczych. Na razie jesteśmy na etapie zaspokajania potrzeb podstawowych, przed nami jeszcze etap wzrostu wymagań i łączący się z tym bezpośrednio wzrost pretensji, skarg i zażaleń. Brzmi to paradoksalnie, lecz dopiero wtedy będziemy mogli uważać sytuację za normalną.

Do tej pory, na jednego mieszkańca wsi przypadało półtorej porady rocznie. Dla porównania, w tym samym czasie, na mieszkańca miasta przypadało 3,7 porady rocznie. Jak mieszkaniec wsi uświadomi sobie, że jest bardziej chory, niż mieszczuch, wtedy będzie częściej składał wizytę lekarzowi, i to lekarzowi-specjaliście, w pierwszym rzędzie protetykowi, stomatologowi i okuliście.

Negatywne skutki cywilizacji docierają do wsi nieraz szybciej, niż pozytywne. Smutną tego ilustracją jest ostatnio znaczny wzrost chorób wenerycznych wśród ludności wiejskiej. Tempo wzrostu tych chorób na wsi jest o wiele wyższe niż w mieście. Kila w mieście — 180,3 proc., na wsi — 228,0 proc., rzeźączka — miasto — 140,6 proc., wieś — 160,5 proc. Dane te pochodzą z roku 1970.

Niezadowolająca jest również sytuacja sanitarno-higieniczna wsi łódzkiej. Ponad 70 proc. studni przydomowych znajduje się w bardzo kiepskim stanie, tak pod względem technicznym jak i sanitarnym, w dodatku około 10 proc. zagród nie posiada w ogóle ustępów. Dodajmy do tego zanieczyszczenie powietrza atmosferycznego przez przemysł, który dość skutecznie zatrąca Ziemię Łódzką w rejonie Działoszyna (cementownia „Warta”), Tomaszowa (TZWS), Janiszewie („Argon”), Rąbieniu („Xenon”), Zglerza („Borruta”), Wojciechowa, Woll Krzysztoporskiej i innych — a obraz wyłoni się raczej niezbyt wesoły. Około 60 proc. dzieci wiejskich do lat 14-tu posiada chorobotwórcze pasożyty jelitowe.

Rzecz jasna, nigdy chyba nie będzie tak dobrze, żeby było doskonałe. Wprowadzenie powszechnego lecznictwa jest dużym osiągnięciem, lecz dopiero generalna poprawa zdrowotności na wsi i przedłużenie życia ludności wiejskiej — to będzie właściwa miara skutków tej wiekopomnej decyzji. Ale na to musimy trochę poczekać, przynajmniej parę lat.

Jej szpilem, donosiłam, gdzie Ojciec pil i z kim. Przychodziłam też do mieszkania tej rozwódki z dwójkiem dzieci. Mówiłam przez łzy, że ojciec ma przecież własną córkę, że nie powinien wiązać się z tą kobietą. To były wyuczone przez nią słowa, które miały ojca wzruszyć. Mówiłam też, że nie wrócić nigdy do ojca, jeśli będzie pil nadal i nie placił babci przynajmniej 200 złotych na moje utrzymanie.

Poskutkowało. Dziś jestem przekonana, że w ojcu tkła się jeszcze iskierka ojcowskiej miłości, że wrócił do mnie, a nie do Niej. Ale te walki wygrałam również dla Niej. Cieszyłam się, kiedy pogodził się z „mama”, tak ją już wówczas nazywałam. Wprawdzie ojciec pil jeszcze przez jakiś czas, awanturował się, a ona potrafiła bardzo chytliwie z tym skończyć. Oczywiście, znowu posłużyła się mną. Postawiła warunek: Ojciec musi mnie zabrać do nich, a wtedy przestanie placić babci. Bo ona też potrzebuje na „życie”.

Było już po ślubie cywil-

nym, kiedy zamieszkałam u nich. Byłam głupia i naiwna, cieszyłam się jak wariatka, że mam wreszcie rodziców i swój własny dom. I rzeczywiście, z początku czułam się w tym wymarzonego domu szczęśliwie; panowała pogodna atmosfera, powoli koleśki ojca zaczęli się rozpraszać.

Urządzaliśmy duże, ładne mieszkanie. Ojciec kupił radio z adapterem, wiele płyt, mogłam słuchać ulubionych melodii, mogłam też we własnym kąciaku spokojnie odrabiać lekcje. Uczylałam się lepiej, chociaż dotąd, od pierwszej klasy, też było dobrze, gdyż zawsze na koniec roku szkolnego otrzymywałam nagrody.

Mieszkanie zapełniło się ładnymi meblami. Ona dostała od ojca futro, ja nowe sukienki, bluzki, płaszcze. Nie mogłam jej nie zarzucić. Dbala o czystość, o gustowne ubranie się. Tylko, że to ładne ubranie mogłam zakładać tylko wówczas, kiedy szłam do kościoła, albo z nimi na spacer. Jeszcze się nie buntowałam, ale po cichu myślałam

gorzko, że oni, żyjąc w lajdactwie, taką pobożną chcą z mnie zrobić.

Z wylicznymi dokładnie pieniędzmi „mama” wysyłała mnie po zakupy. Byłam też zwykłą pomocą domową. Myślałam garnki, talerze, sprzątałam, prałam, gotowałam. Sprzątanie i czystość do przesady... A potem, przecież sama wszystko robiłam, okrzyki: „Nie biegaj, bo kurzysz, nie opieraj łokci o stół, bo brudzisz, mnieś obrus!”

Plakać mi się chciało. Byłam uwiązana w domu, żadnej koleżanki, kina, spaceru... Zgorzkniał mi ten luksus... Ona zawsze była zapracowana, nikt jej nie chciał pomóc. Ona tylko harowała i tylko jej nie mogło starczyć pieniędzy na „zarcie”. Nie dziwiłam się ojcu, kiedy zaczął się buntować i chodzić „w Polskę” na ochłaj.

Próbowałam się do niego skarżyć na macechę. Wysłuchiwał mnie, gaskał po włosach i, kiedy był pijany, potrafił ją skłać, dać w twarz, trzasnąć pięścią w stół. Drża-

łam ze strachu, ale potajemnie cieszyłam się. Tylko, że pijany ojciec łatwo dawał się zaciągnąć do łózka, a gdy się razem przespali, to już była wielka zgoda. Nawet stawał w Jej obronie. Bo ona umiała mu wytłumaczyć, że małe buntuje babcia, koleżanki i sąsiedzi przeziwko jej, ale on przecież nienawidził babci.

A ja babcię kochałam. Chowała mnie dwanaście lat. Ja bym za nią życie oddała. Ale teraz to już koniec.

Teraz wiem, co to znaczy dostać po twarzy od macechy; wiem, jak trzeba oszczędzać światło, gaz, mydło, proszek do prania. „Cały dzień, cholero, ciekasz, a dopiero potem lekcje, wypalanie światła niepotrzebne!” Znowu za długo grzejesz wodę do mycia! I po co tyle proszku walisz do tej wody, co?”

Tak, biegałam nieraz do kołażanek, ale tylko po to, żeby sprawdzić, czy dobrze rozkładałam zadanie, albo pomóc koleżance w napisaniu wypracowania. Prawda, że domagałam się, aby mnie puszczono

na telewizję do babci, bo też mi się chyba coś od życia należy.

Ostatnio powiedziałam ojcu, że już dłużej tego nie znoję. I ojciec się wściekł. Fruwały talerze, macecha plakała. Uciekła, nie wróciła na noc. Podobno ma się wyprowadzać. Gada, że wszystkie rzeczy w mieszkaniu są Jej, bo ojciec przepija. Ale przecież pożyczki brał wspólnie. Nie, nie chwale ojca. Znowu pije. Ona nie będzie go żywiła. Pewnie będą dzielić się meblami. Rozpadnie się ten mój wymarzony dom, który istniał zaledwie dwa lata. I co ja mam robić? Dziś ucieklam ze szkoły. Nie mogę się uczyć, jestem wciąż zdenerwowana, nie sypiam po nocach. Kończę ósmą klasę, złożyłam papiery do Liceum Medycznego, ale chyba z tego nie będzie, nie wytrwam... Jestem może niesprawiedliwa, bo zamiast Ojca Ja winię za wszystko. Chciałabym też przestrzec innych: nie wiercie macechom! One nie dbają o cudze dzieci, chcą zbudować własne szczęście, nie więcej.

I co, proszę pana, to wcale nie takie śmieszne, prawda? Co jej pan powiedział? Aha, wybił jej pan z głowy to głupie gadanie o gazie... I słusznie. Niech pan jeszcze powie, że powinna iść do babci, że jest bardzo młoda i nie wolno jej przerywać nauki. Ja wiem, ona mówi, że babcia nie zastąpi jej rodzitego domu, o którym tak długo marzyła. Trzeba więc jeszcze coś dodać. Może to, że przed jej czy później będzie musiała budować własne życie. Powiedział pan? I co ona na to? Trochę wczesnela. Mówi, że chyba rzeczywiście robi głupstwo, uciekając ze szkoły. No, to już jest bardzo dobrze!

Ona już się z panem pożegnała. Niech pan popatrzy w jej oczy. Tak, nie ma tam już tyle łęku. Każdy człowiek czuje się o wiele lepiej, gdy się wypowiada przed innym, kiedy znajdzie życzliwą radę. Warto więc było iść do tego parku. W jego złozielionym cieniu ludzie, nawet tacy mali, nie tylko radości szukają, świeżego powietrza, słońca w oczach i twarzy...

Na weekend zaprosili dziennikarzy, aby im pokazać, jak wielu rząd ma przyjaciół. Chcieli nam dowiedzieć, że wszystko, co zostało napisane o niespokojnym terenie, nie odpowiada prawdzie, ani tortury, ani nędra, ani, co najistotniejsze, szalone pożądanie niepodległości. Zaprosili nas bardzo grzecznie, niezwykle uprzejmie, nienagannie ubrany urzędnik powitał nas za gmachem opery i zaprowadził do rządowego autobusu. Był to autobus zupełnie nowy. Dotarła do nas woń lakieru i skóry, usłyszeliśmy ciche dźwięki muzyki radiowej. Kiedy autobus podjechał, urzędnik wziął do ręki mikrofon i jeszcze raz powitał nas łagodnym, miłym głosem. Skromnie i nieśmiało powiedział, że nazywa się Garek, potem ruchem ręki wskazał na otaczające nas piękne budynki stolicy, wymieniał nazwy i ilość parków, powiedział kilka o wzorowych osiedlach.

Ruszyliśmy. W pewnym punkcie, na skrzyżowaniu szos, morze znikło z naszych oczu. Droga prowadziła teraz wzdłuż pól, jakby zasianych kamieniami, mijaliśmy wzgórza i pagórki. Po jakimś czasie dotarliśmy do mostu, rozpiętego nad wyschniętym łożyskiem

warzystwie jakiegoś człowieka, którego nikt z nas nigdy nie widział i wskazując na niego, powiedział: — To Bela Bonzo. Pan Bonzo był właśnie zajęty gospodarstwem, ale gotów jest odpowiedzieć na wszystkie pytania, jakie mu państwo postawią. — Spojrzeliśmy na pana Bonzo, który nieco pochylał głowę. Miał starą twarz, jakby pokrytą pyłem. Ostre ciemne fałdy przecinały kark, górną wargę miał spuchniętą. Bonzo, zaskoczony podczas zajęć gospodarskich, był starannie uczesany, zakrzepłe ślady krwi na starczej, wychudzonej szyi świadczyły o tym, że ogolił się szybko i gruntownie. Miał na sobie czystą, bawelnianą koszulę, bawelniane spodnie, za krótkie, sięgające zaledwie do kostek, nogi tkwiły w nowych złotych butach z surowej skóry. Buty takie otrzymują rekruci, wcielani do wojska.

Przywitaliśmy się z panem Bonzo, każdy z nas podał mu rękę, potem pan Bonzo wprowadził nas do swego domostwa. U wejścia czekała stara kobieta. Rysów jej twarzy nie można było rozpoznać, tylko chustka, okrywająca głowę, lśniła w półmroku. Stara poczęstowała nas owocami wiel-

tobusu. Bonzo spoglądał w jego stronę, czekał. Zatrzasnęły się wreszcie ciężkie drzwiczki wozu, zostaliśmy na gliniastym placu bez niego. Jeden z kolegów, obsługujący radio, zwrócił się do Bonzo: — A jak to jest naprawdę? Szybko, korzystajcie z tego, że jesteście sami. — Bonzo przelknął ślinę, spojrzął na kolegę z radia ze zdumieniem i niechęcią i wykrztusił: — Nie zrozumiałem pańskiego pytania.

Na to tamten: — Teraz możemy mówić szczerze i otwarcie.

— Szczerze i otwarcie — powtórzył Bonzo i uśmiechnął się tak szeroko, że obnażył łuki w zębach. — Powiedziałem szczerze i otwarcie. Żona i ja jesteśmy przyjaciółmi rządu, bo wszystko, co mamy, i cośmy osiągnęli, osiągnęliśmy z jego pomocą. Za to jesteśmy rzu wdzięczni. Nie często się zdarza, by się było za coś rządowi wdzięcznym — my tą wdzięczność odczuwamy. Wdzięczny mu jest również mój sąsiad, te dzieci w pobliżu i wszyscy we wsi. Proszę zapukać do drzwi bylejakiego domostwa, a wszędzie dowiecie się panowie, jak bardzo rządowi jesteśmy wdzięczni.

Nagle podszedł do Bonzo uczestniczący w obiedzie młody dziennikarz i powiedział półgłosem: — Mam wiarygodną wiadomość, że syn pański został schwytyany i w jednym z więzień stolicy poddany torturom. Co pan na to?

Bonzo zamknął oczy i powiedział niezmiernym głosem: — Nie mam syna, więc nie mógł być torturowany. Powtarzam; jesteśmy przyjaciółmi rządu. Jestem przyjacielem rządu!

Wyjął skróconego przez siebie papierosa, zapalił, zaciągnął się, spojrzął w kierunku autobusu, którego drzwiczki otworzyły się. Garek wrócił i zapytał, jak przebiega rozmowa. Na twarzy Bonzo pojawił się wyraz ulgi, w dalszym ciągu odpowiadał na nasze pytania żartobliwie i szczęgotowo. Chwilami ślina przeciekała przez jamy w zębach.

Zobaczywszy człowieka z kosą, Bonzo, dał mu znak ręką, żeby się zbliżył. Podszedł, zdjął z pleców kosę, wysłuchał z ust Bonzo pytanie, któreśmy mu przed chwilą postawili. Potrząsnął gniewnie głową i zaczął zapewniać, że jest przyjacielem rządu, na co Bonzo reagował z cichym tryumfem. Na zakończenie obaj podali sobie ręce na naszych oczach, jakby na potwierdzenie obopólnego przywiązania do rządu.

Nadeszła chwila pożegnania. Każdy z nas podał Bonzo rękę — ja ostatni. Kiedy ująłem tę twarzą, popękaną dłoń, wyczułem w niej kulkę, owiniętą papierem. Wyciągnąłem ją zakrzywionymi palcami i cofnąwszy się nieco, wsunąłem do kieszeni. Bela Bonzo zaciągał się szybko i nerwowo papierosem. Przed domostwo wyszła jego żona, stali przed nim, dopóki autobus nie odjechał.

Wracaliśmy inną drogą, przez spaloną słońcem pustynię. W czasie jazdy trzymałem rękę w kieszeni i chciałem rozerwać małą kulkę, ale jakoś mi to nie szło. Nie miałem odwagi wyciągnąć jej z kieszeni, gdyż od czasu do czasu z lustra umieszczonego z tyłu wozu padało w moją stronę melancholijne spojrzenie Gareka. Nad martwą krajiną przeleciał w kierunku stolicy samolot, zawrócił, znowu znalazł się nad nami i już nam towarzyszył do końca.

Trzymając w ręku papierową kulkę poczułem, że dłoń moja staje się wewnątrz wilgotna. Na końcu mijanego przez nas nasypana kolejowego zjawiała się desypana, na której siedzieli młodzi żołnierze. Zaczęli wymachiwać przyjaźnie pistoletami maszynowymi. Ostrożnie wyciągnąłem papierową kulkę i włożyłem ją do małego woreczka, w którym nosiłem zegarek. Znowu zacząłem myśleć o Bonzo, przyjacielu rządu. Zobaczyłem jego żółte buty z surowej skóry, jego rozmarzoną, zadowoloną twarz oraz czarne czeluście w ustach. Nie ulegało wątpliwości, że natrafił na szczerego przyjaciela rządu.

Droga, wiedząc wzdłuż nadmorskiego bulwaru wróciliśmy do stolicy. Przed operą wysiedliśmy, żegnani uprzejmie przez Gareka. Poszedłem do hotelu, wjechałem windą na górę, w tualecie otworzyłem zawiniątko, wręczone mi potajemnie przez przyjaciela rządu. Leżał w nim nieco przeżarty nikotyną ząb — siekacz. Nie miałem wątpliwości, w których ustach tkwił kiedyś.

Przełożył z niemieckiego:
JACEK FRÜHLING

MAREK MAKSIMOW

W kraju milczenia

Groźne wybuchło „hura”, do samych obłoków, jakby runęła góra, która milczała w mroku. W zieleń, w czerwień, w błękit rakiet szposzonych po widnokręgi wtargnął las szalony, jakby puścił się w pias od korzeni wśród błysków zieleni, błękitu, czerwieni, z bronią tysięcznoręki biegł do ataku, rósł w helmy, czapki, kubanki, papachy, wczoraj był niemy, pełen lęku, a dzisiaj wrócił mu głos wichury. Już od świtu nie było pocisków — od wczorajszego świtu. A teraz krzychał jakby to „hura” mogło się zmienić w pociski. Krzychał przeciw ciszy ponurej — las cały od pni do szczytów. Na ramionach płynęły nosze w głów i głosów oszalałym morzu. Sam widziałem jak na wpół żywy chyląc głowę nad wyrwą kolega mój „hura” krzychał, krwią plując żywą. Niemiec, któremu piekło jest niczym, usłyszał jak włosy pod hełmem jeża się z chrzęstem. Bagnety nie są tak straszne, jak gniewny głos zemsty. I płaszczył się u samych nóg, obutych w łapcie nog, Siedemset czterdziesty siódmy ich grenadierski pułk. I moździerzowy umilkł huk i szczęk ołowiu ścichł...

Przełożył: WASYL KOCZNOW



ZIEMOWIT SKIBIŃSKI

Ruiny rzymskiego teatru

Cisza. Schodzę na scenę i milczę. Nie klaniam się, głowę wznoszę słońcu. Słyszę — oklaski cykad rzęsiście, że tej grze nie trzeba końca.

Zbliżyłem. Nie tu. Trochę głębiej pod trawę — te dwa tysiące... Zejść? Kto? A kto? Poeta — ów komik, co ukochał tragedię?

~ ~ ~ ~ ~

Tu byłeś Rzymie, lecz nie jesteś Rzymem — dziś natura przejęła twą łacinę. Tu człowiek popadając w gesty jak szalem owijał się szaleństwem — mitu jestestwem. Tu człowiek kochał i konał, a śmierci i miłości nie było. Była tylko gra.

~ ~ ~ ~ ~

Przegrałeś Rzymie, ty, dla którego natura była niczym, a tylko słowa, mężowie, miecze.

Tak pachną południem skały i drzewa i ziół języki wonne zlizują szary, antyczny kamień, lecząc jasną ranę... Znad morza samotna mewa nieustannie zapisuje niebo.

O, naturo — ten twój sekretny atrament!

Pula, lipiec 1969

SIEGFRIED LENZ

PRZYJACIEL RZĄDU

rzeki. Na moście stał młody żołnierz, trzymający pistolet maszynowy z rodzajem niedbałej czułości. Ujrawszy nas na moście uklonił się nam z uśmiechem. Również w wyschniętym łożysku rzeki stali dwaj młodzi żołnierze. Garek zakomunikował, że jedziemy przez bardzo popularny teren ćwiczeń wojskowych.

Droga szła teraz serpentynami. Przez otwarte okna autobusu wdierał się lekki pył wapienny. Po chwili dostał się do oczu, które zaczęły łzawić, poczuł się jego posmak w ustach. Pozejmowaliśmy marynarki. Z wyjątkiem Gareka, który ciągle jeszcze trzymając mikrofon w rękę, łagodnym głosem opowiadał nam szczegółowo o planach podniesienia tego martwego kraju na wysoką pozycję wedle planu opracowanego przez rząd. Zauważyłem, że sąsiad mój ma zamknięte oczy, głowę odrzuconą w tył, wargi suche, białe jak wapno. Chciałem go obudzić, gdyż od czasu do czasu spoglądał na niego melancholijnym wzrokiem nasz przewodnik Garek. Zanim jednak zdążyłem tracić sąsiada w bok, Garek, który obserwował go przez lustro umieszczone w autobusie, wstał, przeszedł z uśmiechem do tyłu autobusu i zaczął czestować nas słodkami i zimnymi napojami.

Około południa mijaliśmy jakąś wieś. Okna domów były pozabijane deskami, płoty pełne dziur. Na płaskich dachach nie suszyła się żadna bielizna. Studnia była zakryta, nie towarzyszyło nam szczerkanie psów, nie zobaczyliśmy żadnej twarzy. Autobus pędził z tą samą szybkością, zstępując szary obłok wapiennego pyłu. Szarość ta sprawiała, że obłok wyglądał jak sztandar rezygnacji.

Garek czestował nas kanapkami i zapewniał uprzejmie, że już niedługo dotrzemy do celu. Minawszy coś w rodzaju tunelu, wjechaliśmy w dolinę, a po chwili znaleźliśmy się w wiosce położonej nad rzeką. Garek dał znak, żebyśmy się przygotowali do wysiadania. Włożyliśmy marynarki, autobus zwołał bieg, wreszcie zatrzymał się na gliniastym placu przed świeżo powleczoną wapienną chałupą. Wapno, było oślepiające, po chwili rozboleła nas oczy. Zmrużywszy je spojrzaliśmy na chałupę i czekaliśmy na Gareka, który gdzieś znikł. Wrócił po kilku minutach w to-

kości pięści. Były soczyste, czerwone, przy pierwszym ugryzieniu miało się wrażenie, że się zatapia zęby w świeżej ranie.

Wróciliśmy na gliniasty plac. Obok autobusu bose dzieciaki przyglądały się Bonzo z przenikliwością nie do zniesienia. Nie ruszały się z miejsca, nie mówiły ze sobą ani słowa, nie rzuciły w naszą stronę ani jednego spojrzenia. Bonzo, zadowolony, uśmiechał się zagadkowo.

— Nie ma pan dzieci? — zapytał jeden z nas. Uśmiechając się w dalszym ciągu Bonzo odparł:

— Ależ tak, tak, miałem syna. Właśnie staraliśmy się go zapamiętać. Zbuntował się przeciw rządowi, był leniwy, nie nadawał się do żadnej pracy, przyłączył się do sabotażystów, którzy wszędzie sięją niepokój, walczą przeciw rządowi w przekonaniu, że zrobili to lepiej.

Bonzo wypowiedział to zdecydowanie, z wielką pewnością siebie, kiedy mówił, zauważyłem, że brak mu przednich zębów.

— Może zrobiliby lepiej — odezwał się jeden z nas.

Garek uśmiechał się w dalszym ciągu, a Bonzo powiedział:

— Wszystkie rządy są takie same: trzeba je znieść, z jednymi idzie to łatwiej, z innymi trudniej. Rząd obecny znamy, o tamtym drugim wiemy coś tylko z obietnic.

Dzieciaki spojrzały po sobie, jeden z nas zauważył: — Największą obietnicą to niepodległość!

Na to Bonzo w dalszym ciągu uśmiechnęły: — Niepodległości zjeść nie można, co nam po niej, gdyby równocześnie kraj ubożał. A ten rząd zapewnił nam eksport. Zadbali o budowę szos, szpitali i szkół. Dał krajowi kulturę i dał nam jeszcze większą. No, i dał nam prawo wyborów.

Dzieciaki ujęły się za ręce, zbliżyły się nieco. Bonzo pochylał głowę, potem podniósł ją, spojrzął przenikliwie na stojącego za nami Gareka i powiedział, przez nikogo nie pytany: — Niepodległość wymaga pewnej dojrzałości. Prawdopodobnie nie wiedzilibyśmy, co z tą niepodległością począć. Narody tak jak ludzie, mają swoją pełnoletniość. Nie osiągnęliśmy jej jeszcze. Jestem przyjacielem rządu, ponieważ opiekuje się nami, bo nie jesteśmy pełnoletni. Jestem mu za to wdzięczny.

Garek poszedł w kierunku au-

50 LAT LO IM. KAZIMIERZA WIELKIEGO W ZDUŃSKIEJ WOLI

Pół wieku... Nie jest to dużo, jedno niepełne życie ludzkie. Ale w historii miasta liczącego zaledwie 150 lat — to „cała epoka“.

Właśnie jubileusz 50-lecia obchodziła najstarsza szkoła średnia w Zduńskiej Woli — Liceum Ogólnokształcące im. Kazimierza Wielkiego. Jej mury opuściło wielu dziś znanych ludzi — działaczy społecznych, pisarzy, artystów, naukowców. Spøkają się oni wkrótce na zjeździe wychowanków szkoły.

Stają więc ze szkołą utrzymuje m. in. jej absolwent z lat międzywojennych — Bogdan Ostromięcki, poeta, autor „Wędrowców czasu“, „Znaku planety“.

Publikujemy wiersz Bogdana Ostromięckiego, w którym żyją realia miasta młodości poety, oraz wspomnienie z tamtych lat, którym podzielił się z młodzieżą i radą pedagogiczną Liceum Ogólnokształcącego im. Kazimierza Wielkiego w tej szkoly półwiecie.

F. R.

BOGDAN OSTROMIĘCKI

Powrót

Miasto młodości, kraj daleki,
kiedy się zrywa znad kominów,
rosnących jak organy porannych syren srebrny ton —

krajobraz w popiołach zagrzebany
opada na powieki.

I nad torami jesiennymi
znów kolejarze w płaszczach, którzy pod wiatr, ukosem
ze służby nocnej ciągną o tej porze
jak nad brudami gromady wlokących skrzydła wron.

Co wieczór pod klonami
telegrafista gwiazdy liczy lub naczelnik
z chłopackiem, który świat próbuje ujrzyć przez ciemny
liść czerwony,

pachną listeczki lepkie, w gałęziach niebo drży
schylają się ku stawom ogrody pod browarem
i brzęczą gdzieś trzy struny za szybkami.

Gdy za szybkami wieczór żółty lśni,
ręka człowieka nad warsztatem, ponad czólenka błyskiem
wąskim,

ręka w drzewiczki piecyka kładąca smolne wiązki,
ręka na piórkach lekkich brwi.

To miasto ciemne, które opuszcza ktoś w młodości
gorzkie

zbudzony pośród nocy
i pod płotami smolistymi do stacji pustką idzie
za głosem silnie rwącym niż jęk porannych syren,
aż się ta ziemia znów jak liść szeroki po latach mu
otworzy

i obraz jej daleki — wierszem spłynie.

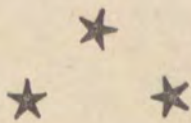
I widzi tamtych kolejarzy
i widzi naczelników poczty spacerujących wieczorami
i widzi rękę nad warsztatem, ponad czólenka błyskiem
wąskim,

gałązkę, która się w piecyku gdzieś po latach jeszcze
żarzy...

I gwiazdkę kruchą ocalenia, klonowy listek jakiś
przez dym kominów innych, nad wszystkie ludzkie noce
sypiących popiół najciemniejszy —
ulotnych pyłów cień.

I błyska znów dłoń znajoma za szybkami,
klonowy listek w rękach dziecka świeci,
nad popiołami pamięci z trudem się dźwiga dzień —

i wraca słowo, które od dawna czeka
i w kształtach nowych, w ulicach przemienionych
pozdrowia znów człowieka.



Ludzie na ogół uciekają od swej przeszłości. Żyją terażniejszością, nie chcą myśleć o przyszłości. Ale poczucie jedności, ciągłość istnienia, kryje się przecież tylko w ogarnięciu całości swej egzystencji.

Refleksje takie nasunęły mi się, gdy po wielu latach znalazłem się znów w tym mieście mego dzieciństwa i młodości, po latach które oddzielone zostały od wszystkiego co tam przeżywałem nie tylko przepaściami czasu ale i otlchłaniem zdarzeń, nadających tak osobliwy wymiar temu wszystkiemu co tam, kiedyś się działo.

Oddzieliła mnie od tego miasta wojna, doświadczenie, które dane zostało mojemu tylko pokoleniu, a które dla młodszych kolegów z tej samej szkoły, z tych samych ulic i domów — jest już tylko historią, kartką z podręcznika.

Powróciłem po raz pierwszy po wielu latach, w czasie uprzedniego Zjazdu koleżeńskiego, chyba w roku 1956, poświęconego obchodom rocznicy założenia naszej szkoły.

Pamiętam ten dzień, kiedy po raz pierwszy, przekroczyłem jej próg. W starym jeszcze budynku, małej kamieniczce, mieszczącej się przy ulicy Królewskiej. Była to zwyczajna kamieniczka, przerobiona na użytek szkoły, klasy mieściły się w pokojach, na dole była kancelaria i mieszkania dyrektora, obok małe boisko nawet nie ogrodzone, przytkające do pola obsadzonego kartoflami. Naprzeciw mieściła się tętniąca maszynami fabryka, tkalnia, gdzie w czasie przerw wybiegaliśmy pod jej mury i zaglądaliśmy przez okratowane okienka do pełnych hałasu i szezęku maszyn sal, patrząc na zmęczonych, pochylonych nad warsztatami ludzi.

Bo charakter naszemu miastu w tych latach nadawały właśnie owe dziesiątki mniejszych i większych fabryk i fabryczek, snujących dymy pod niebo, wyrastających czerwonymi murami i kominami z każdej niemal ulicy.

Potem dopiero, nieco później, oddano do użytku szkoły obecny gmach nadbudowany nad gmachem mieszczącego się tam przednio banku. Szkoła uzyskała lepsze możliwości lokalowe, dobre boisko. W tym gmachu uczyłem się aż do końca, tam zdawałem maturę. Ostatnie nasze kla-

sy mieściły się na drugim piętrze, na trzecim były pracownie: fizyczna, rysunkowa itd.

Dwa dni zostają w pamięci chyba każdego ucznia: dzień rozpoczęcia po raz pierwszy nauki w szkole i dzień ostatni, dzień jej pożegnania.

Zegnając się ze szkołą zegnaliśmy się zarazem z miastem, wyjeżdżaliśmy na studia do Warszawy, do miasta, z którym odtąd do dziś złączyło mnie życie, poprzez lata młodzięcych trudów o naukę i pracę, poprzez walki i uniesienia młodości, poprzez wreszcie lata zagłady wojennej, lata konspiracji, głodu i trwogi, aż do Powstania i opuszczenia miasta, aż do powrotu znowu do jego ruin i zgliszcz.

Ale w tych latach, jakże często wracały obrazy mego młodości wczesniej, złączone właśnie z tamym miastem, ze szkołą. Widziałem tam siebie ciągle, widziałem ślady stóp kilkunastoletniego chłopca na każdym kamie-

niu, na każdej płycie chodnika. Ślady mych przeżyć, nadziei i smutków, klęsk i zwycięstw.

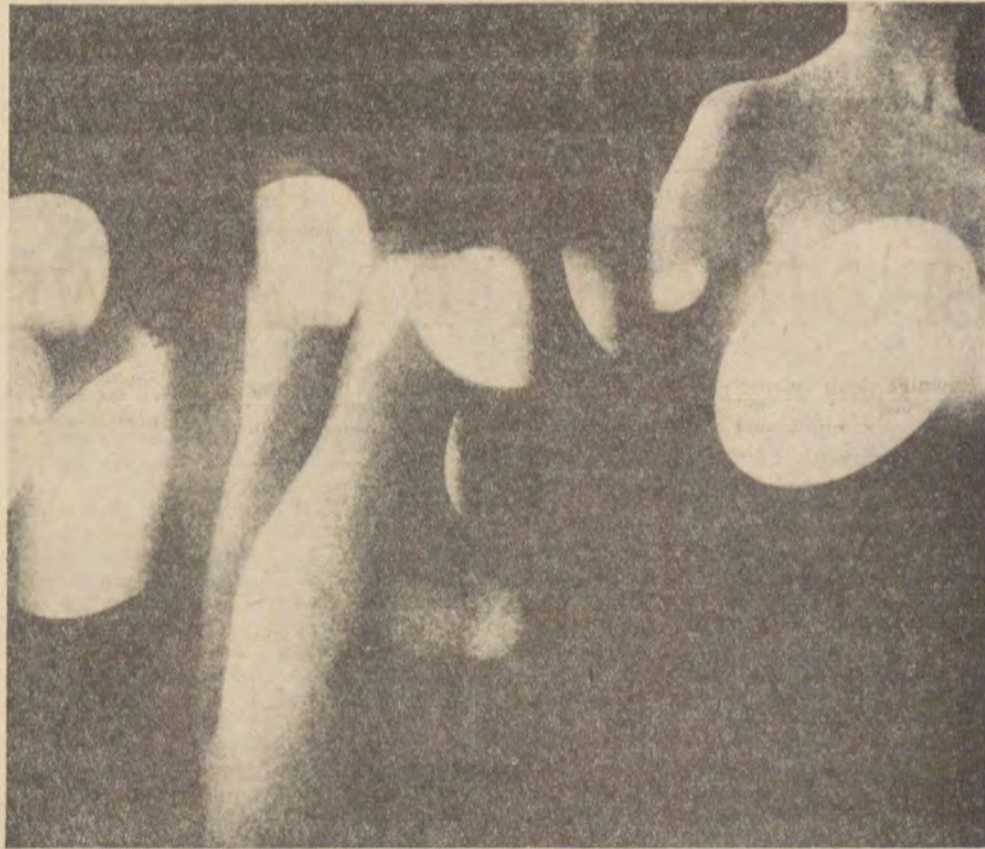
A kiedy po latach więc, znalazłem się znów w naszej szkole ze zdziwieniem patrzyłem na te same klasy, na te same ściany, dotykałem ich ręką, jakby badając, czy to naprawdę one, czy to nie jest tylko powrót taki jaki dokonuje się nieraz tylko we śnie.

Byli koło mnie wtedy wszyscy, zmarli nauczyciele, zmarli i polegali koledzy. Ten sam zapach sal szkolnych, szum drzew za oknami, te same kominny, parkany, te same wnetki bram, witriny sklepów, ten sam park, stare drzewa, małe domki tkaczy, których wtedy było jeszcze tyle, które całe lata śpiewały w długie wieczory swoją monotonna piosenkę warsztatów ręcznych, pod akompaniament syren fabrycznych, budzących mnie rano i usypiających wieczorem...

I dziś mógłbym odtwarzać te ślady, te zabytki megoj pamięci i czegoś więcej niż pamięci. Ale taką zdolność zdobywa się dopiero wtedy, gdy można już z ogromnej, dalekiej perspektywy spojrzeć na swoją młodość, na to co minione, a czego się nieraz tak nie umie cenić.

Dziś mam syna, który zdaje maturę. Czym było jego dzieciństwo, czym jest jego młodość? Czy jest zjawiskiem już innym jakościowo, czy w jakiejś relacji epoki i zmienności warunków — jednak czymś podobnym, tym samym? Kim ja jestem dziś, w stosunku do tego chłopca, który, kiedyś przestępował próg waszej klasy, w której wy teraz siedzicie, kim jestem, czy kimś zupełnie innym, odmiennym przez doświadczenia życia, przez zmianę przecież niemal wszystkich tkanek, przez zmianę mego ciała a także i świadomości, kształtowanej tyłoma czynnikami.

Ale czymkolwiek, kimkolwiek byłbym — wiem ile zawdzięczam właśnie tym dawnym, pierwszym latom, tym mocom szkolnym, temu miastu, ile zawdzięczam nie tylko dobru, które mnie tam spotkało, ale także krzywdzie, smutkowi, cierpieniu. Bo bez nich nie byłbym zapewne umiał mówić o tym, właśnie w ten sposób, nie byłbym potrafił posługiwać się narzędziami megoj pracy, słowem, nie byłbym — pisarzem. Ale nie tylko. Nie byłbym chyba także pełnym dojrzałym i obdarzonym taką właśnie możliwością widzenia i wyrażania świata i ludzi — człowiekiem.



Fot. O. Bleyova

Przeszłość i terażniejszość

Kontrowersje wokół sensu historii, jej miejsca w kształtowaniu przyszłości trwają. Z piedestału naukowej socjologii padają zdania, że „historia jako taka do niczego przydatna nie jest“, zaś odwoływanie się do historyzmu najwzyczajniej traci dziś myślką. Publicystyka rzuca lapidarne hasło: „historia kulą u nogi“. Tak właśnie zacytował swój artykuł opublikowany w trzecim roku numerze wrocławskiej „Odry“ Wojciech Giełżyński, publicysta który ma na swym autorskim koncie wcale udatne wycieczki właśnie w... rejony historii. Czemu się tam udawał, skoro miałoby to nie mieć sensu, nie wiem. Widzę natomiast, że na szeroki front odżywają dziś u nas w IMIĘ NOWOCZESNOCI MYSLI STARE, wypowiadane już przed wieloma laty. Toż już na początku lat trzydziestych wybitny

pisarz francuski Paul Valery pisał w swoich „Spojrzeniach na świat terażniejszy“, że „historia jest najbardziej niebezpiecznym wytworem, jaki wyprodukowała chemia intelektu. Ona to — oskarżał eseista — sprawiła marzenia, ona upaja ludzi, tworzy im fałszywe pamiętki, przecenia nadmiar złudzenia, rozdrapuje stare rany, nęka w chwilach wytchnienia, wiedzie do obłędu wielkości bądź do manii prześladowczej i czyni narody zgorzkniałymi, pysznymi, niezdolnymi i próżnymi. Historia potwierdza wszystko, czego się pragnie. Nie naucza ona absolutnie niczego, bowiem zawiera w sobie wszystko i daje przykłady na wszystko“. Autorowi tych słów sekundował inny pisarz, Andre Gide, który w „Nowych kartkach dziennika“ notował, że najlepszą nauką, jaką można wynieść z historii jest to, że „przeszłość nie

może oświecać przyszłości i że aby stawić czoła nowym wydarzeniom, lepiej mieć umysł niedbający o tradycję, niż zaślepiony przez jej fałszywe blaski. Wielką nauką historii jest, by nie polegać na jej nauczaniu“.

Zarzucano tym ocenom, że biorąc za podstawę bynajmniej nie reprezentatywne nurty historii, ferują

Andre Gide'a, którzy protestowali przeciw tak zwanej już wówczas historii historyzującej. Określenie to, wywodzące się od Paul'a Laforgue'a, rozpropagowane przez filozofa historii Henri Berra, odnosi się do narracyjno-literackiej historiografii, zachętnej na ciekawostki i anegdoty, uwrażliwionej na powierzchowną

jak zdaje się wynikać z ich pisarskich wcieleni — ale na pewno aktualnym adresem. Nie trzeba go chyba ujawniać, wszak pamiętamy dyskusje o bohaterstwie, zwłaszcza te, które rozwijały się wokół „Popiołów“ Andrzeja Wajdy, spory w związku z historyczną publicystyką Zbigniewa Żaluńskiego i wiele innych. Adres nie pozostaje więc dla nikogo tajemnicą, nawet kiedy nie pisze się go na kopercie.

Do dyskusji wkroczyli nie tylko socjologowie, historycy i publicyści. Przypadek podsunął mi ostatni, majowy numer czasopisma „Wychoowanie“, w którym znalazłem wypowiedź, nad którą wypada się zatrzymać. Jest to głos nestora polskich pedagogów profesora Bogdana Nawroczyńskiego, wypowiedziany przezeń na jubileusz własnego dziesięciolecia urodzin dnia 7 kwietnia br. Wybitny humanista zastanawiał się w tej wypowiedzi, jak sprawić, aby młode pokolenie uleczyły się „z pewnej choroby, którą nazywam MO-

DERNITIS. Polega ona na nadmiernym kulcie wszystkiego, co współczesne a słabej znajomości naszej przeszłości i na niedoceniaeniu tej przeszłości. A jednak nie wszystko zaczęło się dopiero z wiosną 1945 roku. Dorobek wieku XIX i pierwszej połowy XX jest dla nas tak doniosły, że strach pomyśleć, czym byśmy bez niego byli. Toteż źle postępują, którzy chcą o nim zapomnieć, lub go zagłuszyć. Zubożają oni naszą duszę i zrywają nie rozwój, która powinna łączyć wszystkie pokolenia Polaków. A tymczasem ta nie i tak jest u nas wyjątkowo słaba. Naszej kulturze brak jest ciągłości historycznej. U nas każde niemal pokolenie chce zaczynać życie po swojemu i od samego początku, tak, jakbyśmy nie byli wielkim narodem, mającym już co najmniej tysiąc lat pracy kulturalnej poza sobą“. Słowa prof. B. Nawroczyńskiego warto jest uważnie przeczytać po raz wtóry.

JÓZEF GRZELAK

Do sporu o sens historii...

globalne, wszechwyjaśniające wyroki. Konkretny sposób uprawiania historii, nieraz zdecydowanie zły, piętnowany przez samych historyków, stawał się wygodną przesłanką dla ataku na nią samą. Boć tak właśnie było w przypadku Paula Valery i

sferę zjawisk dziejowych, obarczonej przy tym największymi emocjami, słowem do takiej historii, jaka masowo docierała wówczas do rąk czytającej publiczności Europy. Dziś sytuacja uległa zmianie i zarzuty kierowane są pod innym —



BALLET RAMBERT. Sandra Craig i Jonathan Taylor w „Ricerare”.

III ŁÓDZKIE SPOTKANIA BALETOWE

Dalszy ciąg ze str. 1

ci. Na przykład „E=MC²” do muzyki A. Mosolowa (balet warszawski) ma bardzo ciekawą koncepcję i ciekawe układy choreograficzne, ukazujące pracę hutników formujących bryłę stali, którą personifikuje tancerka. Ale przecież za dużo tam dymów, ruszających się dekoracji-bloków metalu. Tak samo „Cudowny Mandaryn” Bartoka przygotowany w Teatrze Wielkim, jest zbyt dosłowny, za natrętnie powtarzającym się biciem po twarzy, zbędnymi realiami — jak gra w karty, opróżnianie portfeli, rzucanie banknotów itd. A przecież wśród tych, budzących zastrzeżenia pozycji, Lazzini pokazuje widowiska tak piękne i czyste jak „Ecce homo” do muzyki Jose Berghmansa, operujące jedynie skrótowymi dekoracjami i czarnymi trykotami-kostiumami, jak „Lascaux” do muzyki Johna Antilla.

Jaki więc jest ten Lazzini? Niespokojny, wrażliwy, poszukujący, eksperymentujący, odwazny. To na pewno cechy artysty w pełnym tego słowa znaczeniu. Kto szuka, błądzi czasem. Nie błądzi ten, kto nie robi nic.

Balet słowacki z Koszyc zaprezentował dwie pozycje klasyczne: „Giselle” Adolfa Adama i „Paganiniego” do muzyki Rachmaninowa. To zespół młody, rozwijający się i znający swoje możliwości techniczne. Myślę, że ich występ w Łodzi był pozytywny i dla nich i miły dla publiczności, która chciała odпочać od moderny i eksperymentów.

I wreszcie zespół radziecki, którego

występ efektownie zamknął III Łódzkie Spotkania Baletowe. Jego kierownikiem artystycznym jest światowej sławy tancerz Jurij Zdanow, który obecnie zajmuje się już tylko choreografią. I tu znów jak w przypadku Anglików, mieliśmy do czynienia z kameralnym, 25-osobowym zespołem solistów, absolwentów szkół baletowych w ZSRR, tyle młodych co znakomitych. Balet Klasyczny z Moskwy istnieje dopiero półtora roku, jest zespołem objazdowym, docierającym do najodleglejszych zakątków Związku Radzieckiego i to jest głównym celem jego istnienia. „Mieścimy się wszyscy razem z orkiestrą (15-osobowy zespół kameralny), dekoracjami i kostiumami w jednym samolocie lub jednym autokarze” — powiedział Jurij Zdanow.

Międzynarodowa kariera taneczna pozwoliła Zdanowowi zapoznać się z wszystkimi technikami i wszystkimi szkołami baletowymi. Pozostał wierny szkole rosyjskiej, baletowi klasycznemu. „Taniec to teatr radości, piękna, estetyki — mówi — to można osiągnąć tylko poprzez taniec klasyczny”. Myślę że aby dziś to powiedzieć trzeba być odważnym. I Jurij Zdanow ma prawo tak mówić. Jego solisci byli jedynymi bodaj, w czasie Spotkań wykonawcami, bezbłędnymi technicznie mimo niezwykle trudnych układów i ewolucji. To taniec doprowadzony do perfekcji, to wirtuozowskie popisy sztuki baletowej (E. Cebulewska i S. Stanow w „Pas de deux” A. Adama, O. Pawłowa i D. Brianczew w „Kontrastach” z muz. R. Szedrina i inni). Właściwie wszyscy członkowie baletu zasługują na wymienienie i najwyższe uznanie.

Tak więc na III Spotkaniach zagranica zaprezentowała nam różne indywidualności, różne szkoły, oby następne Spotkania w Łodzi były dalej miejscem takich starć i konfrontacji.

A co w Polsce? Uczestniczyły w tym roku balety: Opery Poznańskiej, Teatru Wielkiego w Warszawie, Operetki Warszawskiej i Teatru Wielkiego w Łodzi. Operetka wystąpiła z bajką dla dzieci, „Wieszczką lalek” (muzyka Józefa Bayera, choreografia Stanisławy Stanisławskiej), która spotkała się z należytym uznaniem dziecięcej widowni, udowadniając raz jeszcze potrzebę sztuki baletowej dla najmłodszych. Wreszcie też doczekaliśmy się udziału baletu warszawskiego Teatru Wielkiego w łódzkiej imprezie. Niemala to, zdaje się, zastępa nowego kierownika baletu — Marii Krzyszkowskiej, która objęła tam energiczne i rozsądne rządy. Przede wszystkim zadecydowała o zmianie profilu artystycznego. Do realizowanego dotychczas niemal wyłącznie repertuaru klasycznego zamierza wprowadzić również pozycje nowoczesne. Pierwszym owocem tej polityki były programy zaprezentowane w Łodzi. Balet warszawski wypełnił dwa wieczory. Na jednym oglądaliśmy układy opracowane przez choreografów Teatru Wielkiego. Maria Krzyszkowska podjęła bowiem jeszcze jedną słuszną decyzję powierzenia opracowań choreograficznych członkom swego zespołu. Zaprezentowano więc do muzyki polskiej (Witold Lutosławski, Zbigniew Turski, Krzysztof Penderecki, Jerzy Maksymiuk) układy Marquity Compe, Marty Bochenek i Jerzego Makarowskiego. Sztukę taneczną tego ostatniego mogliśmy podziwiać następnego wieczoru w roli Cudownego Mandaryna. Pierwszy wieczór warszawski wykazał, że polityka artystyczna Marii Krzyszkowskiej powinna wydać dobre owoce. Wieczór był ciekawy, a „Ndege — Ptak” do muzyki Turskiego w układzie M. Compe, wręcz fascynujący (świetna kreacja Moniki Ukielskiej-Rowickiej). O drugim wieczorze autorstwa Lazziniego już wspominałam — zarówno sukcesy jak i niepowodzenia tego wieczoru trzeba zapisać na jego konto.

I wreszcie — co najciekawsze. Balet Opery Poznańskiej, a właściwie Teatr Baletowy Conrada Drzewieckiego, jest wciąż najznakomitszą sceną baletową w Polsce. Nasz znakomity choreograf, zajmujący miejsce w czołówce światowej, ma ambitne i zasługujące na realizację zamierzenia. Prowadząc balet teatru, który ma w repertuarze 40 pozycji operowych, w tym tylko cztery bez baletów, nie może w pełni zaspokoić swych ambicji, nie może pokazać tego, na co stać jego i jego zespół. Conrad Drzewiecki chce stworzyć zespół zwolniony od przygotowywania wstawek baletowych do oper tworzących samodzielne spektakle. Nie wątpię, że władze Poznania, mądre i zawsze życzliwe inicjatywom kulturalnym, a szczególnie muzycznym (opowiadał mi kiedyś pewien zadziwiony łódzianin, że przewodniczący RN Poznania, całkiem prywatnie i dobrowolnie, prawie incognito, uczestniczył w przesłuchaniach do tegorocznego Konkursu Wieniawskiego), zgodzi się na tę koncepcję, której realizacja wymaga tylko dodatkowych funduszy.

Drzewiecki zaprezentował w Łodzi wieczór składający się z trzech pozycji Belli Bartoka: Sonaty, Divertimenta i Cudownego Mandaryna. Dwoim ostatnim pozycjom akompaniowała orkiestra pod batutą Mieczysława Nowakowskiego, notabene też najlepsza orkiestra III Spotkań Baletowych. Na tym pięknym wieczorze spotkaliśmy znajomych i nowych solistów baletu poznańskiego: Olze Sawicką, Romę Juszkat, Annę Deregowską, Przemysława Sliwę, Janusza Wojciechowskiego, Emila Wesołowskiego i in. Spotkaliśmy znów fascynującą sztukę Conrada Drzewieckiego choreografa i scenografa, artysty, którym opiekują się wszystkie muzy. Jego balety łączą taniec, scenografię, kostiumy, światło w harmonijną całość, o bezbłędnie, matematycznie niemal wyważonych proporcjach, konsekwentną w każdym szczególe. U Drzewieckiego nie ma dosłowności, która raz i czasem u Lazziniego, ale jest prostota i jasność wypowiedzi artystycznej, której czasem brak

Lazziniemu. Drzewiecki jest humanistą, człowiekiem wysokiej kultury, która pozwala mu sceny najbardziej drastyczne pokazać w sposób estetyczny. Dlatego taką koncepcję „Cudownego Mandaryna” mógł zaprezentować jedynie on i odnieść wielki sukces.

O łódzkim przedstawieniu Spotkań Baletowych pisałam w poprzednim numerze „Odgłosów”. Były to: „Dafnis i Chloe” Maurycego Ravela w choreografii Witolda Borkowskiego oraz „Zielony stół” Kurta Joossa w choreografii Anny Markard. Do przedstawienia tego nie będę więc wracać. Dziś jednak warto popatrzeć, jak na tle innych zespołów, choćby tylko krajowych, wygląda balet łódzki. Omawiając II Spotkania Baletowe przed dwoma laty, napisałam: „Wydało się, że nie mamy powodu do kompleksów i zmartwienia. Ten najmłodszy w kraju, bo na dobrą sprawę funkcjonujący od trzech lat balet, znalazł się gdzieś pośredku ze swymi przedstawieniami „Romeo i Julia” Prokofiewa i bajka „Królewna Śnieżka” Pawłowskiego. Jak na trzyletni staż nie jest chyba źle, a za dwa lata, na następnych Spotkaniach, będziemy mogli wymagać już więcej”.

Mineły dwa lata, po których chyba rzeczywście mamy prawo wymagać więcej, tymczasem balet łódzki z „gdzieś pośredku” znalazł się na szarym końcu. Dlaczego? Co działo się w balecie przez ten czas? Otóż w ciągu minionych dwóch lat, dzielących II i III Spotkania, balet Teatru Wielkiego w Łodzi wystawił (w październiku 1970 r.) pozycje pod tytułem „Balety Polskie” — składankę, z której potem — aby podnieść jej poziom — wycofać trzeba było jedną pozycję i zastąpić ją „Sylfidami” do muzyki Chopina. Potem już nie działo się nic. Może więc balet miał tyle pracy przy przygotowywaniu baletów do oper, że nie miał czasu na samodzielne spektakle? Niestety, w ciągu tych dwóch lat balet poważnie zatrudniony był przy dwóch pozycjach: „Aldzie” i „Białowłosej”.

Tego typu inercja kierownictwa baletu nie wpłynęła dodatnio na rozwój zespołu, nawet na jego wysoce utalentowanych solistów. I weale to nie jest dziwne.

Prawdę mówiąc, to dopiero Spotkania uświadomiły sytuację w balecie Teatru Wielkiego. Sprawy te były przysławiane przez ambitne, interesujące premiery na scenie operowej, przedstawienia, o których głośno było w kraju. Nie wątpię, że balet stanie się przedmiotem najbliższej troski kierownictwa artystycznego teatru.

III Łódzkie Spotkania Baletowe zakończyły się. Jednym z wniosków, jakie można było z tej imprezy wyciągnąć jest, że balet coraz bardziej zbliża się do teatru. Teatr baletowy (to sformułowanie powtarza się coraz częściej) zamiast baletu oznacza wzbogacenie tańca o elementy teatralne i plastyczne, daje dodatkową funkcję światłu, dekoracjom. Idzie też w kierunku preferowania małych form tanecznych, odchodzi od widowisk pełnospektaklowych. Te tendencje obserwuje się wszędzie, tak samo, jak tendencje poszukiwania inspiracji we współczesnej muzyce symfonicznej. Muzyka polska zajmuje tu nieblahę miejsce. Nie tylko zespoły polskie, ale również Anglicy i Francuzi sięgają do dzieł Grażyny Bacewicz, Krzysztofa Pendereckiego, Witolda Lutosławskiego, Kazimierza Serockiego.

Na tym tle, tym bardziej interesująca jest inicjatywa naszego Teatru Wielkiego, który podjął decyzję zorganizowania co drugi rok Konkursu Choreograficznego Małych Form Baletowych. Myślę, że będzie to czynnikiem pobudzającym ambicję i inicjatywę polskich zespołów baletowych i ich kierowników. A widocznie nie jest najlepiej z ta inicjatywą, skoro na tegorocznych Spotkaniach nie pojawiły się teatry z Bytomią, Gdańską i Bydgoszczą.

Mimo tych wszystkich, mniej czy bardziej optymistycznych refleksji cieszyć się trzeba, że łódzka impreza baletowa rozwija się, jest coraz popularniejsza, że Teatr Wielki w Łodzi stał się sceną o znaczeniu międzynarodowym. To na pewno zasługa pełnego inicjatywy energicznego kierownictwa Teatru Wielkiego. Należą mu się za to słowa uznania.

TERESA WOJCIECHOWSKA

MONTE CASSINO

W popularnej serii „Omega”, a więc w nakładzie 120 tysięcy egzemplarzy ukazały się „Szkice spod Monte Cassino” Melchiora Wańkowicza. Jest to już (a może dopiero) trzecie wydanie tej kroniki historycznej bitwy wokół której narosło tyle legend.

Wańkowicz zmienił nieco tytuł tej trzeciej edycji — jest to bowiem publikacja nieco inna od poprzednich wydań. Po prostu autor musiał swoją wielką, trzytomową książkę przystosować nie tylko do profilu serii, ale i zmniejszyć do 13 arkuszy drukarskich.

Nie zmniejsza to, na szczęście, walorów książki, choć oczywiście „Szkice” nie zastąpią pełnego wydania „Monte Cassino”, które chyba warto wznówić w pełnym kształcie. Sam Wańkowicz przyznaje, że miał spore kłopoty z ukazaniem bitwy w jednodomowej wersji. Wyszedł jednak z tych zaniegów obronną ręką, skracając momenty operacyjne (mniej interesujące masowego czytelnika) na rzecz ustępów, towarzyszących bitwie.

W ten sposób otrzymaliśmy książkę nieco inną — opowieść o bitwie, podczas gdy poprzednie wydania były monografią bitwy. Szkoda tylko, że rygorystycznie nie pozwoliły na pub-

likację choćby wyboru zdjęć. W pełnym wydaniu były ich setki, ściśle zsynchronizowanych z tekstem, co dawało czytelnikowi pełną jasność przebiegu bitwy.

Melchior Wańkowicz, „SZKICE SPOD MONTE CASSINO”, Wiedza Powszechna 1972.

GRY I ZABAWY

Lech Pijanowski zajmuje się sprawą tak pozornie błądzą, jak teoria i praktyka gier. Ale to nie żadne hoki klocki — twierdzi przeciw Huizinga, że u podstaw kultury leży gra, za-

bawa, że kultura ludzka narodziła się z zabawy. Trudno nie przyznać racji autorowi „Jesień średniowiecza”, a Pijanowski wyciągnął z tej prawdy praktyczne, pisarskie wnioski.

W swoim czasie opublikował zbiór esejów o grach w kontekście historycznym, obecnie „Iskry” wydały „Przewodnik gier” Pijanowskiego. Znajdujemy tam 125 opisów reguł w gry na planszy, do którego to gatunku należą szachy i halma, znane wszystkim, ale także te wszystkie wari, go, hufafalafa, kimbo... Jak się w to gra? Kupcie „Przewodnik”. Pijanowski podaje też 45 opisów gier typu domina, 70 opisów gier karcianych, 22 opisy gier dla

śamiotnych (są to raczej łamię-głównie), 42 opisy pasjansów...

Książka jest ciekawa i do czytania nawet, jeśli nie mamy weale zamiaru zabijać czasu gra. A poza tym wydano ją pięknie, zawiera dziesiątki fotografii i rysunków. Znika więc z księgarską szybko, co świadczy, że istnieje w społeczeństwie zapotrzebowanie na inteligentny relaks. Potrzeba aktywnej, umysłowej rozrywki — gimnastyki szarych komórek.

J. W.

Lech Pijanowski „PRZEWODNIK GIER” — Iskry 1972, cena 50 zł.



WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

„Karabiny“ czyli trudne sprawy Polaków



Elżbieta Jasińska i Tadeusz Schmidt.

STANISŁAW GROCHOWSKI opatrzył swą powieść „Karabiny” epigrafem wyjętym z dialogu Męża z Pankracym z „Nieboskiej komedii” Zygmunta Krasińskiego. Zasygnalizował tym samym przejrzystą aluzję (nie możemy jakoś wydstać

się z zakłętęgo kręgu poezji romantycznej) do rozmowy, którą w jego powieści wiedzie komendant oddziału NSZ, były ziemianin, z pełnomocnikiem rządu do spraw reformy rolnej, Szalugą. Obie rozmowy — i ta z „Nieboskiej”, i ta z „Karabinów” — są z po-

zoru do siebie podobne. Ale tylko z pozoru.
Prawda, że w obu przypadkach mamy do czynienia ze starciem przeciwników klasowych, między którymi niemożliwe jest porozumienie, których spór zakończyć może tylko śmierć.

— Do widzenia na Okopach Świętej Trójcy — mówi Pankracy. — A kiedy wam kul zabraknie i prochu...

— To się zbliżym na długość szabel naszych — brzmi dumna odpowiedź Męża, czyli hrabiego Henryka.

I dla analogii:
— Nie dostaniecie mnie — mówi komendant-dziedzie u Grochowiaka.

— Dostaniemy — replikuje Szaluga — Zawieźliśmy pana do Warszawy i tam też będzie sąd, chociaż bez krucyfiks.

Ale tu kończy się podobieństwo. Hrabia Henryk i Pankracy wymieniają nawzajem swoje racje. Antycypują one jakby werdykt, który wyda historia. Obaj antagoniści są — każdy na swój sposób — uczciwi, przekonani wewnętrznie o słuszności swej postawy.

Hrabia Henryk Anno Domini 1945, czyli oficer NSZ odgrywający farsę sądu nad Szalugą, żadnych racji moralnych ani ideowych nie posiada. Historia wydała już wyrok, przyznała słuszność tej stronie, którą reprezentuje Szaluga. I choć NSZ-owiec ma go w swym ręku, choć nie przeszkodzi mu dokonanie mordu na rzeczniku władzy ludowej, to przecież zbir kontrrewolucyjny nie ma za sobą żadnych argumentów. Może dać tylko upust zwierzęcej nienawiści i bezsilnej wściekłości.

Stosunkowo niewielki utwór literacki Grochowiaka wprowadza nas w sam gąszcz trudnych spraw naszego narodu. Mówi otwarcie, miejscami wręcz brutalnie, o czasach, w których rozdziła się i cementowała młoda państwowość ludowa, stanowiąca nowy model umowy społecznej.

Głównym bohaterem „Karabinów”, rodzajem medium wiodącego nas „drogą przez mękę”, jest Bruno, ksiądz katolicki, a właściwie już tylko człowiek w sutannie. Losy postawiły go, jako proboszcza wiejskiej parafii w górach, w bezpośredniej bliskości krwawych zmagania. To w nim, z woli autora, dokonuje się ich osąd. On, głęboko uczciwy wobec samego siebie, choć rozdarty wewnętrznie, weryfikuje postawy ludzkie i ideowe, które zresztą w procesie polaryzacji już się niemal całkowicie pokrywają.

Strona, której eksponentem jest Szaluga, ma nie tylko słuszność w płaszczyźnie ideowej, ale także w kategoriach moralnych i humanitarnych. Natomiast NSZ-owcy nie tylko służą niesłusznej sprawie, ale równocześnie stacają się na pozycje antyludzkie.

Nic dziwnego, że osąd Bruna będzie w końcu jednoznaczny. „Kiedy profesor podźwił obrzmiałe powieki — brzmiał ostatnie zdanie powieści — ujrzał nad sobą twarz pełną prostoty i wyzwolenia”. Ten wyraz wyzwolenia malujący się na twarzy Bruna, to sygnał, że dokonał właściwego wyboru. Opowie się po stronie nowej władzy, po stronie sturutowanych zwłok Szalugi i Joanny. W świetle tej najważniejszej sprawy na drugi plan schodzi fakt utraty wiary. („Nie pójdę już do biskupa”).

Andrzej May, przygotowując się do debiutu reżyserskiego, podjął pracę nad „Karabinami” Grochowiaka nie bez oporów. Ślad tego znajdujemy w jego nocie w programie przedstawienia. „Uważam — pisze tam May — że każde przeniesienie na scenę utworu powieściowego jest i musi być jego zubożeniem. Dlatego zawsze byłem przeciwnikiem wszelkich adaptacji”.

Stwierdzenie to brzmi bardzo kategorycznie, może aż zbyt kategorycznie. Nie będę tu wymieniać przykładów udanych adaptacji powieści na język sceny, ale — zgódźmy się! — że takie udane próby miały miejsce. Niewiara w skuteczność adaptacji nie jest najlepszą pozycją wyjściową dla podejmowania pracy nad nią. Tym bardziej, że motyw, które legły u wyboru tekstu przez adaptatora, są natury ideowo-treściowej, a więc z innej sfery niż zacytowane wyżej argumenty przeciw adaptacji.

Zainspirowała zatem adaptatora powieść Grochowiaka do stworzenia widowiska, które odzwierciedlałoby w sposób głęboki, bez uproszczeń, sprawy ideowego przełomu, wobec którego stanęło wielu ludzi w Polsce w trudnych pierwszych latach ludowej państwowości. Temu celowi służy przedstawienie „Karabinów” w Teatrze Nowym i — stwierdzmy to od razu — wpisuje się interesująco w rząd widowisk określanych mianem teatru politycznego.

Skoro May postanowił sięgnąć po utwór niedramatyczny, znaczy to, że nie zadowolili go napisane na ten sam temat sztuki teatralne. A jak powiodła mu się adaptacja? W zasadzie spełniła zadanie jako tworzywo literackie widowiska. Nie znaczy to jednak, że pracę adaptatora zaakceptować można we wszystkich szczegółach.

Operując wyłącznie materiałem zaczerpniętym z książki, nie uniknął May w wielu momentach zubożenia

powieści. Relacja: Szaluga — Joanna stała się na skutek wyeliminowania obudowy narracyjnej, na dobrą sprawę, nieczytelna. Trudno nam na podstawie przedstawienia orzec, jaki jest stosunek uczuciowy Joanny do Szalugi i vice versa.

Dlatego niezrozumiały jest też ponury nastrój Szalugi w scenie picia bimbru. Jego zachowanie sprawia wrażenie jakiegoś weltschmerzu, czy mówiąc modniej — frustracji. A Szaluga, ten powieściowy, nie jest sfrustrowany, ani wyalienowany. Zna dobrze misję, jaką ma do spełnienia, nie odczuwa rozterki ideowej. Tylko że sprawami osobistymi, uczuciowymi nie umie się jakoś uporać.

Joanna i Szaluga wyszli w przedstawieniu, w wyniku zabiegów adaptacyjnych, okaleczeni i wewnętrznie niepełni. Nie ułatwiło to zadania wykonawcom. Elżbieta Jasińska zagrała Joannę (w roli tej obsadzona jest również Zofia Grądziewicz) nieco histerycznie, zaś Wojciech Pilarski jako Szaluga powielił pewien schemat ludowego bohatera (w rolach takich wypadło mu grać nieraz).

Najlepiej oparla się adaptacyjnym cięciem i eliminacją postaci Bruna. Wykorzystał to skutecznie Zbigniew Józefowicz, ukazując bogatą skalę przeżyć wewnętrznych człowieka w sutannie aż po końcowe, symboliczne zdjęcie tejże sutanny.

Tadeuszowi Schmidowi nie udało się wyjść poza zewnętrzność przy konstruowaniu postaci Oficera NSZ, natomiast w świetnym epizodzie błysnął Andrzej May jako Pijany porucznik.

Plastyčna oprawa przedstawienia zmierzała do stworzenia syntetycznego znaku, ukazującego złożoność polskiego losu. Wraz z muzyką dobrze wspomagała nastrój widowiska.

Jeśli chciałoby się zakończyć recenzję bardziej ogólną konkluzją, to tą, że Mayowi udało się stworzyć spektakl śmiało nawiązujący do niełatwiejszej problematyki. Mogłoby osiągnąć więcej, gdyby mniej kurczowo trzymał się tekstu literackiego, traktując go raczej jako inspirację przy samodzielnym projektowaniu widowiska.

• Teatr Nowy (Duża Scena): Stanisław Grochowski „Karabiny”; sztuka w 2 aktach z prologiem i epilogiem w/g powieści pod tymże tytułem; adaptacja i reżyseria — Andrzej May; scenografia — Iwona Zaborowska; muzyka — Włodzisław Korzec; premiera prasowa — 12. V. 1972 r.

WIKTOR MALSKI

DWÓCH HAMLETÓW W BOŚNI

To ciekawe spotkanie odbyło się pod koniec pobytu w Jugosławii zespołu Teatru im. Stefana Jaracza z Łodzi.

Łódzki zespół miał już wówczas za sobą występy w Belgradzie i w stolicy Bośni i Hercegowiny — Sarajewie. Czytelnicy zaś najpoważniejszych pism jugosłowiańskich — „Borby” i „Polityki”, a także szeregu innych gazet, jak choćby, belgradzkiego „Expressu”, czy sarajewskiego „Oswobodzenia”, mieli już okazję zapoznać się z pełnymi uznaniami recenzjami zaprezentowanego przez łódzki teatr „Hamleta”.

Ostatni występ łódzkich aktorów odbył się w Zenicy, przemysłowym centrum Bośni i Hercegowiny. Dla dużej części zespołu miasto nie było obce. Teatr łódzki bowiem od kilku już lat utrzymuje serdeczne więzi z teatrem w Zenicy, a wzajemne wizyty zespołów w obu krajach stają się powoli tradycją.

Gorące przyjęcie zgotovane łodzianom przez gospodarzy, niezwykle żywa i pełna aplauzu, mimo językowej bariery, reakcja widowni na łódzki spektakl były potwierdzeniem tych serdecznych więzi i z

pewnością przyczyniły się do ich dalszego umocnienia.

Ze strony polskiej znalazło to wyraz w pięknym fragmencie wystąpienia Jana Maciejewskiego, dyrektora teatru i reżysera „Hamleta” w jednej osobie, w czasie spotkania obu zespołów i licznych zaproszonych gości po przedstawieniu w Zenicy.

W „Hamlecie”, jego inscenizacji ważną rolę, w której dopatrzyć się można szeregu symbolicznych znaczeń, odgrywa rozrzucona na scenie ziemia.

Przywieźliśmy tę ziemię z sobą — powiedział Maciejewski do jugosłowiańskich gospodarzy. Sądziłmy bowiem, że chyba jakoś lepiej grać się nam będzie na naszej, polskiej ziemi. Przyjaźń i serdeczność, jaką nam wszędzie okazywano sprawiły, że czuliśmy się zupełnie jak wśród swoich i bliskich. I w Zenicy nakopaliśmy przed przedstawieniem tu-tejszej ziemi. Zmieszały się nam teraz nasza polska i Wasza w jedno — powiedział Maciejewski i długo potem nie mógł dojść do głosu, nie milkły bowiem oklaski.

Owo emocjonalne poczucie blis-

kości, które znalazło wyraz w burzliwym aplauzie dla zdania o zmieszanej ziemi, z pewnością umacniające jest dodatkowo podobieństwem wielu współczesnych spraw i problemów charakterystycznych dla stosunków w obu krajach. I w tym właśnie kryła się chyba jedna z przyczyn, że nasyciona tytuł odniesieniami do współczesności inscenizacja „Hamleta” Maciejewskiego znalazła taki żywy rezonans i rozgłos w Jugosławii.

Może nawet nie w pełni zamierzona, ale znakomitą ilustracją owej bliskości stała się konfrontacja dwóch bardzo rozmaitych Hamletów, jaka miała miejsce w ciągu dwóch kolejnych dni w Zenicy.

Otóż w repertuarze teatru zenickiego znajduje się głośna w tej chwili w Jugosławii sztuka Ivo Breszana — „Przedstawienie Hamleta w wiosce Mrdusza Donja”.

Miarą serdeczności przyjęcia gości z Łodzi może być — notabene — sposób, w jaki sztukę tę pokazano zespołowi Teatru im. Jaracza. Ponieważ nie były przewidziane w tym czasie jej normalne spektakle, zespół zenicki dał przedstawienie w sali prób wyłącznie na użytek swoich polskich przyjaciół.

Akcja jugosłowiańskiego „Hamleta” pomieszczona jest w zabitej deszkami dalmackiej wiosce w pierwszych latach po wojnie. Do wioski przychodzi odgórny okólnik w sprawie konieczności rozwijania życia kulturalnego. Miejscowi bossowie, na czele z trzęsącym całą wsią prezesem spółdzielni, postanawiają użyć w tym celu zablakowanego przypadkiem w wiosce egzemplarza „Hamleta”. Ponieważ jednak autor był Anglikiem, a Anglicy to przecież burżuazyjni inicjatorzy ożywiania kultury, postanawiają czujnie dokonać właściwych ideologicznych modyfi-

kacji przez wprowadzenie do tekstu motywów ludowych.

W sztuce satyryczny wątek przygotowania spektaklu poprawianego „Hamleta” spłata się z dramatycznym, w którym młody chłopiec, grający Hamleta stara się zdemaskować oszustwa wszechpotężnego prezesa, grającego króla, który przyczynił się do uwięzienia i śmierci jego ojca.

W jugosłowiańskiej wersji Ivo Breszana, Hamlet nie zabija króla. Odejście pokonany i odrzucony przez Ofelię. Na placu pozostanie król — prezes, który powie wstrząśniętym mieszkańcom wioski, że wszystko jest w zupełnym porządku i każe im tańczyć pod rytm, wybijany potężnym kijem. Zaczyna ten taniec zwolna i bez chęci. Potem jednak, poddawać się będą wybijanemu coraz szybciej rytmowi i w coraz zwyczajnym tanecznym korowodzie krząć będą bezwładnie wokół swego króla.

Dwie szczególnie sceny utrwalają się w pamięci z zenickiego przedstawienia, wyreżyserowanego przez kierownika literackiego tego teatru, Zorana Ristovicia. A więc ów wstrząsający taneczny korowód, kończący sztukę, przed tym zaś świetnie rozegrana scena przymierzania teatralnych kostiumów, tak jakby ubarwiona i zdobna świecidełkami powłoka miała magiczną moc przekształcenia treści bytowania mieszkańców Mrdusza Donja.

Odmienność obu Hamletów jest chyba zupełnie oczywista. Ale właśnie tym ciekawsze było to ich spotkanie w Zenicy wraz z całym ładunkiem skojarzeń wywołanych przez jedno i drugie przedstawienie.

Hamlet Breszana poniesie klęskę w starciu z królem. Jego zryw w imię sprawiedliwości i ludzkości

nie wstrząśnie twierdzą okrzepłych instytucji i autorytetów. I nawet ci, którzy dawali posuch jego wezwaniom, włączają się w końcu w narzucony rytm tanecznego korowodu.

Hamlet w inscenizacji, którą dał Maciejewski, będzie wierny geniuszowi Szekspira. W swoim zrywzie zniszczy króla i sam zginie, zostawiając miejsce dla ludzi z zewnątrz, obcych i obojętnych dla tragedii wykrzykiwanej beznadziejnie przez Horacego wśród usuwanych rekwizytów, bezowocnych zmagania.

W licznych krytykach po premierze „Hamleta” w Łodzi podkreślano było przez recenzentów umiejscowienie eksponowania współczesności pytań stawianych w szekspirowskim dramacie, a także sugerowanych przez inscenizację dróg, mających prowadzić widza do znalezienia odpowiedzi. To samo uderzyło jugosłowiańskich krytyków, co znalazło wyraz we wspomnianych już, licznych recenzjach w tamtejszej prasie.

Polskiego widza w podobny sposób uderzyć musiało zamierzenie jugosłowiańskiego autora i reżysera zenickiego spektaklu.

Nie jest zresztą wykluczone, że sztukę Breszana ujrzyć będzie mogło grono polskich widzów, szersze aniżeli to, które w drugiej połowie maja znalazło się na sali prób zenickiego teatru. Mówiło się bowiem o zamiarze ukazania tej sztuki na deskach Teatru im. Jaracza.

Po spotkaniu dwóch Hamletów w Bośni możliwa by się stawała w ten sposób ich ponowna konfrontacja, tym razem w Łodzi. Byłoby to jeszcze jeden — i chyba nie najgorszy owoc — zadziergniętej przez oba teatry współpracy, tak pomyślnie umocnionej tegorocznymi udanymi występami łódzkiego zespołu na trzech jugosłowiańskich scenach.

KRONIKA PLASTYCZNA



Rys. A. J. KALASZNIKOW

Powstanie obrazu spowodowane jest bądź wewnętrzną potrzebą malowania, potrzebą zapisywania przy pomocy koloru i znaku plastycznego, oglądanego lub skomponowanego w wyobraźni fragmentu świata, bądź chęcią zakomunikowania czegoś komuś: innemu, bądź też jednocześnie i jednym i drugim. Tak by rzecz można było ująć w największym skrócie. Alieśli

zdarza się, że do głosu dochodzą powody inne, poza artystycznej zgoda natury i powiedzmy sobie szczerze, że dzieje się to niestety zbyt często. Te to właśnie, poza artystyczne powody, dla których powstają dziesiątki obrazów, książek, filmów, znalazły sobie w naszej kulturze prawo azylu i nie one wskazują na to, aby owo prawo było im odebrane.

W Salonie Sztuki Współczesnej na Piórkowskiej oglądać można zbiorową wystawę obrazów „Kopernik — Kosmos”, wystawę, która pozostawia po sobie jedynie niesmak i wiele arcysmutnych refleksji.

Uroczystości i imprezy wypełniające program Roku Kopernikańskiego nie mogą być i nie są obojętne nikomu, kto myśla swoją i swoimi uczuciami wykracza poza obręb własnej miski. Cześć, jaką oddajemy człowiekowi, który przed innymi odsłonił rzeczywisty obraz świata, który wstrzymał Słońce, aby Ziemię ruszyć z miejsca średniowiecza jest holdem składanym nie tylko wielkiemu polskiemu astronomowi i myślicielowi, ale również tym wszystkim, którzy swoją wiedzą i swoim rozumem sprawili, iż stopa ludzka odcisnęła swój ślad w księżycowym pyłu. W naszym holdzie dla Kopernika jest hold dla współczesności, dla człowieka — istoty rozumnej.

Ale jak się okazuje Kopernik może być również pretekstem do okolicznościowej chałtury. Wystawa łódzkiej malarzy „Kopernik — Kosmos” nie jest nawet wystawą zła — jest po prostu żenującym zbiłkiem infantylnych obrazków, wypranych z treści, myśli, z uczucia. Jest wystawa okolicznościowych gazetki ściennych, powstałych z dnia na dzień. Owe płótna, które wiszą w Salonie Współczesnym nie oddają nikomu holdu (wręcz przeciwnie), nie mówią nic. Są puste, jak oczy ślepeca. Są martwe, bo były już martwe w samym swoim zamysłu. Żebyż to jeszcze były obrazy namalowane, ale tam i malarstwa nie ma. Pokolorowane obrazki opatrzone tytułami. Okolicznościowa

chałtura — jakże wiele takich chałtur. Samograję z trywialną konstrukcją pozszytki. Na tej wystawie Słońce i Ziemia i wszystkie planety stoja w miejscu.

W Oddziale Łódzkim Państwowego Wydawnictwa Naukowego otwarta została skromna, ale interesująca, zwłaszcza dla kolekcjonerów, wystawa współczesnego ekslibrisu radzieckiego. Ten rodzaj grafiki zyskał sobie w ostatnich latach ogromną popularność w Związku Radzieckim, opartą o tradycję XVIII-wiecznego znaku książkowego i porowolucyjnego ekslibrisu, który czerpał wzory z najbardziej awangardowych prądów lat dwudziestych. Obecnie ekslibris radziecki plasuje się w ścisłej czołówce światowej. Graficy Litwy, Estonii, Łotwy i Białorusi na wielu międzynarodowych wystawach zdobywali niejednokrotnie czołowe nagrody i medale. Warto zwrócić uwagę, że właśnie ta forma grafiki radzieckiej potrafiła połączyć w harmonijną całość tradycję z najnowszymi tendencjami sztuki współczesnej. Ze jeśli mówić o nowoczesnej grafice radzieckiej, to trzeba przede wszystkim mówić o ekslibrisie. Inną interesująca sprawa jest fakt, że tworzywem wciąż chętnie używanym przez grafików radzieckich jest drewniany klocek — materiał coraz bardziej zapomniany, a przecież szlachetny, wdzięczny i pięknie dający efekty. W wystawie w PWN bierze udział dziesięciu autorów, zdumiewających precyzją i bogactwem wyobraźni.

A. G.

O FILMACH DOBRZE I ŹLE

Film „UMRZEC Z MIŁOŚCI” André Cayatte'a poprzedziła u nas duża sława. Jest to jednak sława szczególna, nie tyle związana z filmem samym, co z jego genezą. Znana i ceniona w Polsce twórczość Cayatte'a związana zawsze była z problemami sprawiedliwości i sądownictwa a inspirowana przez fakty autentyczne. („Sprawiedliwość stało się zadaniem”, „Wszyscy jesteśmy mordercami”). Realizując film „Umrzec z miłości”, Cayatte pozostał wierny swym zainteresowaniom i pasjom i tak, jak zwykle, zrobił film, który spotkał się ze społecznym odzwiekaniem. Tym razem film jego poprzedziły zdarzenia, które wstrząsnęły francuską opinią publiczną. 1 września 1969 roku Gabrielle Russier — 31-letnia nauczycielka z marsylskiego liceum po przejściu piekła policyjnego śledztwa, aresztu prewencyjnego, procesu sądowego, po przeżyciu koszmaru nagonki opinii publicznej popełniła samobójstwo. Oskarżona o uwiedzenie 17-letniego ucznia z własnej klasy, nie potrafiła wraz ze swym ukończonym, udowodnić światu prawa do tej miłości. Jej śmierć wywołała we Francji falę protestów i dyskusji, które toczyły się przede wszystkim wokół spraw podstawowych w życiu każdego społeczeństwa — funkcjonowań we współczesnym świecie podstawowej komórki społecznej, jaką jest rodzina i tak uszczególnionych prawami instytucji jak szkolnictwo i sądownictwo. Dyskutowano sprawy norm społecznych i obyczajowych, oskarżono prawo cywilne o jaskrawy mizoginizm, nie idący w parze właśnie ze zmianami, jakie zaszły w społecznej obyczajowości. Poprzedzając śmierć Gabrielle Russier zdarzenia w 1968 roku, które wstrząsnęły tak silnym bastionem, jakim jest szkolnictwo, zdecydowały o powrocie do jego problemów. Moralne aspekty całej sprawy podzieliły opinie

publiczną na dwa oboje. Faktorem było, iż znaczne grono francuskich uczonych wyśosiowało list otwarty domagający się wszczęcia śledztwa celem ustalenia przyczyn śmierci Gabrielle Russier, ujawnienia winnych, a także późniejszej jej rehabilitacji. Do procesu formalnego nie doszło, odbył się on jednak wobec audytorium najszerzego, jakie być może — pełnego forum społeczeństwa francuskiego.

Film André Cayatte'a audytorium to poszerzył, wyprowadzając sprawę daleko poza granice Francji. I tu dochodzimy do problemu, wobec którego trudno zająć stanowisko jednoznaczne. Ośmielam się wyznać, iż film „Umrzec z miłości” odbierałam właściwie tak, jak odbiera się melodramat, podziwiałam jedynie znakomite aktorstwo Annie Girardot, która w moim przekonaniu w ogóle film ratuje. „Umrzec z miłości” nie atakuje bowiem tych rejonów świadomości i wrażliwości, do których Cayatte przede wszystkim zamierzał chyba dotrzeć. Przedstawiona przez niego historia bardziej wzrusza aniżeli przekonuje: trudno byłoby może z owego wzruszenia czynić zarzut, gdyby nie jego, chyba zbyt tania ekliwiczność. Znakomity reżyser — prawnik tym razem pozbawił swój film owej sirowości relacji, która go zawsze dotąd cechowała. Opowiedział przede wszystkim historię miłości, miłości szalonej, którą żł ludzie zamienili w tragedię. Wiem, że samo życie historię tę napisało i życie powinno ją może w filmie obronić. Jeśli jednak film ten miał być ważkim głosem w sprawie, której sens w Niemczech swój wymiar bardziej ogólny, obejmujący tak problem nietolerancji, jak i sprawy współczesnych konfliktów między obowiązującym kodeksem moralno-obyczajowym a samym życiem, winien walczyć bronią inną, aniżeli tylko łzami. Wydaje mi się również,

iż sam Cayatte ugiął się pod presją zewnętrzną, czyniąc swego młodego bohatera bardziej dorosłym, niż był chyba naprawdę.

„TRUP W KAŻDEJ SZAFIE” to tytuł, który mówi właściwie sam za siebie, my dodajmy, iż film ten zrealizował Oldrich Lipsky, autor niezapomnianego „Lemonadowego Joe”, świetnej parodii westernu. Tym razem Lipsky wziął na warsztat film gangsterski, dokonał jednak, jak gdyby parodii podwójnej. Zakpił sobie bowiem nie tylko z konwencji tegoż gatunku, ale przede wszystkim z komiksowych seriali, których ekspansja obejmuje już również nasze najpocześniejsze pod stołeczne kioski szacownej instytucji „Ruch”. Komiksowe szaleństwo atakuje zatem i nas z tym, że my jeszcze broniemy się dzielnie przed zalewem zachodniej miernoty, czyniąc bohaterami komiksowych opowieści bohatera Kapitana Klossa i jemu podobnych.

Dumni z Klossa i bohaterów „Podziemnego frontu” idźmy popatrzeć na „Trupa w każdej szafie”, by zobaczyć, jakie to historie do opowiadania i jakich bohaterów wybiera sobie komiksowa produkcja na Zachodzie. Ale bądźmy przy tym sprawiedliwi dla czeskiej wersji ich przysług, śmieśna ona i złośliwa, jak na parodię przystało. Jeśli ktoś do końca na nim nie wysiedzi, to dlatego, że po prostu nie bardzo lubi komiksy, albo nie lubi parodii.

EWA NURCZYŃSKA



OBIEKTYW

TUAN JIM

We wstępie do powieści „Murzyn z załogi Narcyza” Joseph Conrad stwierdził: „Pragnę sprawić siłą słowa pisane, abyście słyszeli, czuli i — co najważniejsze — widzieli”. W ten sposób wielki pisarz dawał wyraz przekonaniu, że w swych dziełach literackich tak kształtuje słowo, by pobudzało ono możliwość wszechstronnie wyobraźni czytelnika. W tym także wyobraźni wzrokowej.

Świat fikcji powoływany do życia przez Conrada ma w sobie coś plastycznego, co budzi właśnie skojarzenia wzrokowe, dając im pożywkę słowną bujną i barwną. Mogłoby to oznaczać, że powieści jego stanowią wdzięczny materiał dla adaptatora. Realizowany swego czasu w Telewizji Szczecin przez Juliusza Burskiego cykl widowisk „Wieczory z Conradem” wydaje się taki pogląd potwierdzać.

Tym razem o adaptacji głośnej powieści Conrada pokusiła się Telewizja — Katowice (Joseph Conrad „Lord Jim”; przekład — Aniela Zagórska; adaptacja i reżyseria — Lidia Zamkow; reżyseria TV — Włodzisław Pawlak; scenografia — Jerzy Moskal; muzyka — Edward Bogusławski; emisja — 29. V. 1972 r.). Znakomita proza Conrada uległa przetworzeniu na język widowiska.

Niestety, nie da się o realizacji katowickiej powiedzieć wiele dobrego. Każdy, kto pozostawał kiedyś pod czarownym wrażeniem „Lorda Jima”, musiał przeżyć w konfrontacji z wersją ekranową poważne rozczarowanie. Obrazowość pisarstwa Conrada, tak zapładniająca dla naszej wyobraźni, urealniona i zredukowana do konkretnej wizji splaszczyla się nagle i wyjąłowała z uroków egzotycznej przygody.

Jest to powieść o odpowiedzialności moralnej człowieka. Bohater tytułowy nosi na sobie przez całe życie ciężar owej chwili, gdy zawiódł zaufanie innych ludzi, porzucając w niebezpieczeństwie statek, na którym był pierwszym oficerem. Owo sprzeniewierzenie się jest właściwie w jego oczuciu nie do wymazania, mimo przyjętej następnie postawy niegananej i pełnej ofiarności.

Kto zna życiorys Conrada, ten odszyfrowuje w „Lordzie Jimie” nie tylko problematykę ogólnie moralną. Conrad, spędzając większą część życia na obczyźnie i przyjmując obywatelstwo brytyjskie uważał, iż sprzeniewierza się Polsce. Ojczyznę porzucił przecież w okresie niewoli, kiedy tak bardzo potrzebowała najwyższego wysiłku ze strony wszystkich Polaków. Tak rozumował Conrad, uważając się za dezertera sprawy narodowej. Tonący statek „Putna” opuszczony przez tuana Jima (tak nazywali Malajczycy bohatera powieści) symbolizował w pewnym sensie Polskę w jej sytuacji na przełomie XIX i XX wieku.

W powieści olbrzymią rolę odgrywa typ narracji zastosowany przez Conrada. Na owe czasy (powieść ukazała się drukiem w 1900 roku) przełamująca ona tradycyjną konwencję powieściową, w której pisarz rezerwował sobie boską wszechwiedzę w odmalowywaniu zdarzeń i sytuacji. W „Lordzie Jimie” między pisarzem i światem fikcji stoi narrator, kapitan Charles Marlowe. Losy tuana Jima poznajemy w subiektywnym naświetleniu tego narratora. Osnuje są one pewną tajemniczością z powodu niepełnej wiedzy Marlowe'a, a zwłaszcza niemożliwości zgłębienia przez niego do końca wewnętrznego świata przeżył Lorda Jima.

Tych wartości powieści daremnie szukalibyśmy w adaptacji telewizyjnej Lidii Zamkowej. Subtelny dystans do opowiadanych spraw wyparował. Dramat bohatera stał się zbyt dosłowny, powiedzielibyśmy: zewnętrzny. Nie pomogły tu wysiłki aktorskie wykonawcy głównej roli — Leszka Herdgena.

Zawiodło również przepyszne, soczyste tło, jakie w powieści stanowi bujna przyroda Archipelagu Malajskiego i mórz południowych, imitowana w studio telewizyjnym puszczą podzwrotnikową z płatną lian i przesycona głami dzikich zwierząt mimo rzetelnych wysiłków miała cechy parodii.

Czy w ogóle należało adaptować „Lorda Jima”? A może zbyt wiele wymagam od adaptacji książki mojej młodości? WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

spektakle tygodnia

za okres od 22 do 28. V. 72 r.

	TEATRY	Ilość spektakli	Liczba widzów	proc.
WIELKI	„Dafnis i Chloe”	1	1260	100
	„Zielony stół”	1	1260	100
NOWY	„Prometeusz”	2	700	50
	„Zołnierz i bohater”	4	2800	100
	„Judasz”	1	490	70
	„Idiota”	2	1120	80
	„Karabiny”	1	700	100
NOWY MAŁA SALA	„Kociol”	1	140	70
	„Ofiary obowiązku”	1	120	60
	„Lekkomyślna siostra”	4	800	100
POWSZECHNY	„Perla”	5	3340	100
	„Ojciec królowej”	2	1336	100
JARACZA	„Szklanka wody”	2	1091	100
	„Placówka”	2	975	95
	„Hamlet”	4	1505	75
	„W pustyni i w puszczy”	1	540	100
	„O krasnoludkach i sierotce Marysi”	1	550	100
7.15	„Piosenki pań swawolnych”	3	905	72
	„Trędowata”	3	1251	100
OPERETKA	„Diabeł nie śpi”	6	4800	84

Kto, co, kiedy?

relacje
niedyskrecje

WALDEMAR MATUSZKA

„Nie wiem skąd się bierze w człowieku ten niepokój, to poczucie nie pozwalające mu usiedzieć na miejscu, sprawiające, że jest wiecznie z siebie niezadowolony. Ja po prostu nie mogę usiedzieć na miejscu. Stanowczo nie mogę”. — śpiewa Waldemar Matuszka podczas jednego ze swych licznych występów estradowych. Matuszka pracował w jednej z hut szkła w Karlowych Varach. Po odbyciu służby wojskowej, po eliminacji konkursowej zo-

stał przyjęty do Państwowego Zespołu Pieśni i Tańca w Czechosłowacji. Pięć lat pracy w zespole było dla niego doskonałą szkołą piosenkarstwa. Dziś Waldemar Matuszka jest znanym czeskim śpiewakiem i aktorem. Występuje w popularnych w Pradze teatrach małych form „Semaforze” i „Rokoko”. Nagranie dwóch piosenek Matuszki pt. „Pójdziemy ze mną” i „Zuzanna” przynosi m.in. jeden z ostatnich numerów radzieckiego miesięcznika dźwiękowego „Krugozor”.

Przyjechała 23-osobowa grupa niewidomych mężczyzn i kobiet z kilku miast. Zapoznawali się z eksponatami dotykając je,



Niewidomi przy rzeźbie Barlach

przesuwając palcami po powierzchni rzeźb i płaskorzeźb z ceramiki, drewna i brązu. Czasem palce zatrzymywały się dłużej na jakimś detalu, badają szczegóły rzeźby. Niewidomi, skupieni, o twarzy na których widać było napiętą uwagę, przeżywali mocno to pierwsze zetknięcie ze sztuką plastyczną. „Jak długo pracował Barlach nad tymi przedmiotami?” — pytał jeden z niewidomych. „Ten eksponat jest trudniejszy do rozpoznania niż poprzedni” — stwierdzał inny niewidomy.

Organizatorzy tej wizyty jedno mogli stwierdzić z pewnością. Oto dla niewidomych obiekty duże, o dużej powierzchni, są tak trudne do rozpoznania jak i przedmioty zbyt małe.

Ogólnie niewidomi najchętniej „ogladali” i najłatwiej rozpoznawali rzeźby średniej wielkości. „Mniejsze rzeźby łatwiej rozpoznają — mówiła jedna z niewidomych. „Przy większych tracę ogólne pojęcie o wyglądzie”. „Nie jestem tego zdania. Wcale mi nie przeszkadza czy rzeźba jest duża” — powiedział ktoś inny.

Im dłużej trwała wizyta niewidomych w muzeum, im bardziej następowało bliższe zetknięcie się z rzeźbami, tym bardziej ożywiali się zwiedzający,

tylko większy żal przejawiali do przesuwania palcami po powierzchni figur. Nie widać było jakiegokolwiek oznak znużenia czy zmęczenia. Wedrowali, prowadzeni przez przewodników od sali do sali, schodami w dół, w górę, skupiając się w miejscach, gdzie było najwięcej rzeźb, wymieniając uwagi, spostreżenia, dyskutując. Do niektórych rzeźb wyciągało się równocześnie kilka par rąk. Przesuwając dłońmi wzdłuż drewnianych czy kamiennych figur niewidomi orientowali się w wysokości przedmiotu. Prawie żaden szczegół dzieła nie uchodził ich bacznej uwadze. Prosił, aby opowiedziano im więcej o samym Ernście Barlach, gdyż jak twierdził, będą wtedy mogli lepiej zrozumieć i przeżyć jego dzieła.

Przypomnijmy przy okazji, że w roku 1970 minęło sto lat od daty urodzin wybitnego rzeźbiarza niemieckiego. Ernst Barlach urodził się w Holsztynie w rodzinie lekarza. Uczył się w Hamburgu, następnie studiował w Akademii Drezdeńskiej. W latach 1885—1896 przebywał w Paryżu, gdzie pogłębiał swe umiejętności artystyczne. Rysował, malował a także pisał. Jego dramaty wystawiane były w kilku teatrach na terenie Niemiec. Pierwszą wystawę artystyczną Barlach miał



Ernst Barlach — SPIEWAJĄCY MĘZCZYNA

w roku 1901 w Berlinie. W roku 1906 odbył dwumiesięczną podróż po Rosji, gdzie zwiedził szereg większych i mniejszych miast.

Od roku 1910 osiadł w Gąstrow i odtąd pracował bardzo dużo i bardzo intensywnie, głównie rzeźbiąc. Jego twórczość cechuje miłość do człowieka, nienawiść do wojny i spustoszeń jakie ze sobą niesie.

Za czasów hitleryzmu dzieła Barlacha zostały usunięte ze wszystkich muzeów niemieckich, jego rzeźby niszczone, a jego książki spalono. Prześladowany przez hitlerowców, Ernst Barlach ciężko zachorował i zmarł w roku

1938 na atak serca w szpitalu w Rostocku. Zaproszenie niewidomych do zwiedzenia muzeum Barlacha okazało się udanym i ciekawym eksperymentem. Hamburgska prasa wyraża nadzieję, że podobne zaproszenie nie-

widomych do zwiedzenia dzieł sztuki powtórzą także i inne muzea. Zwiastuje, że niewidomi prosili o to. A „ogładanie” przez nich rzeźb wywołało znacznie żywsze zainteresowanie niż się tego spodziewali organizatorzy eksperymentu.

G.B.S. I MIŁOŚĆ

Być może najbardziej interesujący spośród dotąd znanych, zbiór listów wybitnego dramaturga angielskiego Bernarda Shaw, został ostatnio wystawiony na licytację w Nowym Jorku.

Głównym trzonem tego

zbioru, będącego dotąd w posiadaniu osoby, która nie chce ujawnić ani swego nazwiska, ani narodowości, jest 19 listów miłosnych G.B.S. do pleśniarki Alice Loket pisanych w latach 1893 do 1895. Listy te ujawniają jak nielatnym kochankiem był Shaw nawet w latach swej młodości. „Moimi przyja-

ciółmi — pisał do swej ukochanej — są muzyka, koneserska, zapasy mego intelektu z intelektami innych... Kochanie mnie nieszczęśliwie, a przez to znika emocja. To jest właśnie Twój błąd: od Twego powodu widziałem Cię dwukrotnie i za każdym razem byłeś w głupi sposób ekstrawagancka”.

ZAPOZNANA PISARKA

Ostatnio ukazały się dwie książki jedna w języku angielskim, druga po francusku o nieluznie wspomnianej pisarce angielskiej Mary Wollstonecraft.

Mary Wollstonecraft była żoną eseisty i powieściopisarza Williama Godwina. Ich córka, Mary, poślubiła następnie sławnego poetę angielskiego Shelleya.

Mary Wollstonecraft była entuzjastką Wielkiej Rewolucji Francuskiej, walczyła o równouprawnienie kobiet.

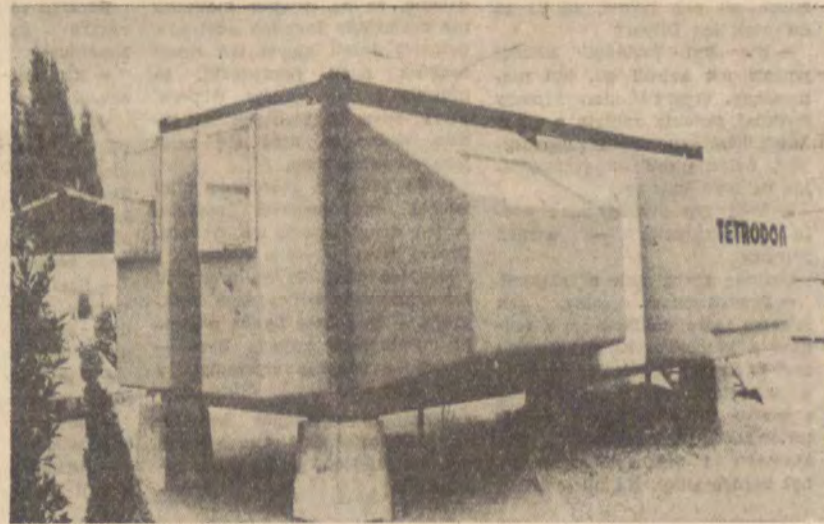
DOMY Z TWORZYWA SZTUCZNYCH

Ostatnio na Targach Paryskich można było oglądać amerykańskie domki o dość dziwnych kształtach i jaskrawych kolorach. Domki te były zbudowane z tworzywa sztucznego. Na stalowej konstrukcji osadza się wydmuchane płyty z tworzywa sztucznego jakby lupiny. Każda z takich lupin pełni swą funkcję — jest więc sypialnia, łazienka, jadalnia itp. Można dowolnie zestawiać owe lupiny i dowolnie komponować

rozkład domku. Całość powierzchni mieszkalniowej nie przekracza 25 m kw. Wszystkie elementy są prefabrykowane i łatwo dają się przewozić z miejsca na miejsce. Domek można złożyć w ciągu kilku godzin. Tyleż czasu wystarczy na rozmontowanie. Plastik, z którego są owe domki jest ogniotrwały i stanowi dobrą izolację od warunków atmosferycznych. Wadą jest jednak wysoka cena. Podobne domki z tworzywa sztucznego pokazali na Targach i sami Francuzi. Domki francuskie mają

mniej dziwaczny wygląd i konstruowane są z plastikowych szescianów. Można je ustawiać na nierównym terenie, nawet na skalistym, a także na wodzie, gdyż są wodoszczelne. Ich cena jest stosunkowo niska. Sto sześćdziesiąt siedem takich domków zakupiło Monachium w związku z Olimpiadą.

Domki z plastiku są chętnie kupowane tam gdzie zachodzi potrzeba przetrzeźwienia w miejsce jakiejś budowy większej ilości robotników.



Domek z kolorowego plastiku

NIEDZIELI

ŁÓDZKA
WYSTAWA
W RESZLU

FANTAZJA NA TEMATY LUDOWE — BARWNE
PTAKI I LIŚCIE — ŚWIAT POSEPNY — POETYCKA
WIELOZNACZNOŚĆ — LITERATURA W GRAFICE —
PTAKI I SAMOLOTY — ZDERZENIE DWU ROZNYCH
WYOBRAŹNI.

W Łódzkiej prasie znalazła się zaledwie jedna krótką notką o najnowszej wystawie Moniki Gawwińskiej-Czyż i Andrzeja Gruna. Nie dziwnego, mało kto widział tę ciekawą ekspozycję, bowiem znajduje się w Reszlu, w województwie łódzkim, w tamtejszej galerii sztuki współczesnej. A jest to przecież wystawa łódzkich artystów i przynależy do osiągnięć artystycznych środowiska plastycznego Łodzi.

Monika Gawwińska-Czyż jest łódzianką, tu ukończyła studia plastyczne na Wydziale Tkaniny Drukowanej w PWSSP w roku 1967. Przez czas jakiś była projektantką tkanin dekoracyjnych w wytwórni ART-REGION w Sopotcie. Dwa lata temu objęła stanowisko kustosa Galerii Sztuki Współczesnej Warmii i Mazur na Zamku w Reszlu. Jej prace ekspozycjonowano m. in. na Wiosennych Targach Krajowych w Poznaniu oraz na Do-

rocznych Wystawach Plastyki Olsztyńskie.

Artystka uprawia także malarstwo, ale głównym nurtem jej twórczych zainteresowań jest tkanina dekoracyjna. Najczęściej jest to płaszczyzna o powtarzającym się rytmie kwadratów, w które wpisuje barwne elementy inspirowane sztuką ludową. Oczywiście mówić tu można wyłącznie o inspiracji; nie jest to bowiem stylizacja sztuki ludowej, lecz bardzo dalekie reminiscencje motywów i wzorów nie przynależnych do jakiegokolwiek określonego regionu. Monika Gawwińska — Czyż tworzy sztukę oryginalną i własną, będącą właściwie swego rodzaju twórczą fantazją na temat sztuki ludowej, pojętej w sposób szeroki i otwarty.

Fantazyjne ptaki i ornamentacja roślinna, wpisane w kadry tkaniny, tworzą płaszczyznę o kompozycji zwartej i konsekwentnej. Jest to twórczość ciekawa i oryginalna, oparta o motywy włącz

ające swoją świeżością; jednocześnie jest to twórczość wyrosła z doświadczeń projektowych artystki, co wyraźnie widać w rytmicznej kompozycji tkanin.

Drugą część ekspozycyjną w Reszlu „łódzkiej” wystawy stanowiły rysunki i grafiki Andrzeja Gruna, artysty uprawiającego ponadto malarstwo, zajmującego się projektowaniem, a także — m. in. w „Odgłosach” — publicystyką na tematy plastyki. Andrzej Grun związany z Łodzią od lat wielu, studiował PWSSP w Gdańsku na Wydziale Malarstwa Sztalugowego, w pracowni prof. Piotra Potworowskiego i prof. Teresy Pągowskiej. Głównym nurtem jego zainteresowań twórczych jest jednak nie malarstwo, ale właśnie grafika.

Czarnobiałe światło Andrzeja Gruna jest posepny i pełen niebezpieczeństw. Nie jest to wizja radosna, pełna na tych planszach epetycznych dion,

klatek z uwiecznionymi kochankami, pełno twarzy z grymasem przerażenia... Wieloznaczność tych metaforycznych, poetyckich grafik ma nieraz charakter bardzo literacki, ale to nie jest literackość w potocznym znaczeniu. Te grafiki i rysunki nie stanowią ilustracji, są samoistnym dziełem plastycznym o literackim podtekście.

Na ich kanwie budować można skojarzenia, podobne plastycznej wizji, lub całkiem inne. Grun jak gdyby świadomie ekspozycjonuje literackie inspiracje swoich grafik, a jednocześnie buntuje się przeciwko nim. Na jednej z prac, będącej właściwie feerią słów, zapisanych bezładnie na całej płaszczyźnie kartonu, pozostawia zaledwie strzępy ludzkich twarzy. Metafora jest z pozoru przejrzysta, a jednocześnie bardzo wieloznaczna.

Na rysunku ludzkiej dłoni odnajdujemy ni to ptaki, ni to samoloty... Ta

dłoń niosąca eskadry samolotów — ta dłoń niosąca chmary ptaków. W zależności od tego, jak odczytamy umowne znaki (samoloty? ptaki?), zmienia się metaforyczny sens całej grafiki.

Jest to więc sztuka wymagająca skupienia i refleksji — w typie metaforyki poetyckiej, przełożonej na język plastyczny, podobna jest współczesnej poezji. Uwagi o literackości grafiki Andrzeja Gruna nie mają więc charakteru pejoratywnego. Jest to po prostu sprawa poetyckiej wrażliwości.

Te dwie zupełnie różne charakterem ekspozycje w reszelskim zamku znakomicie się uzupełniają. Do słowności i ludowości prac Moniki Gawwińskiej-Czyż i wieloznaczność i poetyckość grafik Andrzeja Gruna tworzą wystawę o niebanalnym charakterze, dzięki zderzeniu dwu różnych regionów plastycznej wyobraźni.

JERZY WIDOK

Noc w Brooklynie

Burgess, mam dla pana ważne zadanie — rzekł naczelny redaktor. — Proszę natychmiast pojechać do baru „Mike's Tavern”. Kogoś tam zabito. Trzeba się rozejrzeć i zebrać fakty...

Gdy Burgess znalazł się przed barem była godzina 9.30. Na ulicy stał samochód policyjny. Zgromadził się już tłum gapiów. Burgess pokazał strażnikowi legitymację dziennikarską i został wpuszczony do wnętrza baru.

Lokal był smutny i ciemny. Rozjaśniały go w tym momencie dwa potężne reflektory. Przy stołkach siedziało kilku mężczyzn. Zegar na ścianie wskazywał 9.32. W rejestraturze kasy sterczał kwitek z liczbą 20 centów. Na ladzie stały obok siebie kufel i kieliszek. Jakby pozostawione przez klientów blisko siedzących.

Fotograf policyjny robił zdjęcia lady i kasy. Gdy skończył wszedł do baru dwóch mężczyzn z noszami. Wyneśli zza lady zwłoki zabitego i ułożywszy je na noszach udali się w kierunku wyjścia.

— Czy bandyci dużo ukradli? — zapytał Burgess inspektora Lyonsa.

— To nie jest zabójstwo w celach rabunkowych — odparł zapytany. — Wygląda mi raczej na wendette. Zabili właściciela baru Mike'a Olivera. Wiedzieli, że codziennie sam otwierał lokal. Gdy po nim przyszedł barman, znalazł go z kulą w plecach, leżącego za ladą.

Burgess zwrócił się teraz do barmana.

— Jestem z prasy, poproszę pana o nazwisko... Dziękuję. Niech mi pan powie, co to za człowiek ten Oliver?

— Nie był lubiany, klienci wprost nie znosili go, był niegrzeczny. Stosował nieprzyjemny zwyczaj żądania zapłaty z góry. Jeżeli ktoś zapominał, wykrzykiwał, należąca mu suma wskazywała na kwit kasowy.

— Tak! typ musiał mieć wielu nieprzyjaciół — wtrącił Burgess.

Barman energicznie przytaknął. — Przypominam sobie, jak miesiąc temu pokłócił się z jednym o głupstwo. Klient wrzucił mu banknot dziesięciodolarowy, a właściciel wydał mu resztę z pięciu dolarów. Klient zaprotestował. Oliver zwymyślał go od kłamek i wyrzucił za drzwi, był bardzo silny. Na ulicy klient

krzychał: — Ja ci jeszcze pokażę, choćbym miał skończyć w więzieniu!

Wieczorem po obliczeniu kasy stwierdziliśmy nadwyżkę pięciu dolarów. Szef chciał je zwrócić, lecz ten typ już więcej do nas nie przyszedł. A był częstym gościem, wszyscy go tu znali.

— Czy pan im o tym opowiadał? — zapytał dziennikarz wskazując policjantów.

— Musiałem, trudno jest coś przed nimi ukryć. Powiedziałem także nazwisko, Hastings, i opisałem wygląd. — Westchnął.

Jeszcze tego samego dnia Burgess zobaczył go w komendzie policji. Był wystraszony, wzbudzał politowanie. Po konfrontacji z barmanem odprowadzono Hastingsa do więzienia.

— Widzę, że już macie podejrzanego — zaczął Burgess rozmowę z Lyonsem.

— Istotnie. Wzięliśmy jego odciski palców i okazało się, że odpowiadają tym, które są na kielszku pozostawionym na ladzie w momencie zbrodni.

— Czy nie ma alibi?

— Przysięga, że leżał w łóżku w tym czasie. Gdy weszliśmy do jego mieszkania, udawał, że śpi.

— Kto siedział przed drugim kielszkiem, a raczej przed kufelkiem?

— Hastings nie może tego znać, jeżeli zaprzecza, że siedział przed pierwszym. Ale wysłpiewa wszystko, nie dziś, to jutro. A teraz tegnam pana, mam dużo pracy.

Burgess nie ruszył się z miejsca.

— Co się stało? — zapytał policjant.

— Czy nie wydaje się panu dziwne, że na drugim kielszku nie znaleziono żadnych odcisków palców? Jeżeli nawet ten drugi osobnik nosił rękawiczki, to musiały zostać odciski Olivera, który postawił kielszek na ladzie. Widocznie ktoś się zajął jego oczyszczeniem.

— Bo jeden z mężczyzn miał więcej przytomności umysłu. A ten drugi strzelał do Olivera. Proszę teraz wyjść z pokoju...

Burgess udał się do pracowni fotograficznej policyjnego fotografa. — Inspektor Lyons pozwolił mi obejrzeć zdjęcia baru — rzekł. — Właśnie wyszedłem z jego gabinetu.

Urządniczek wyciągnął kartotekę. — Przecież dziś rano był pan tam na miejscu, po co panu fotografie?

— Chciałbym jeszcze coś sprawdzić.

Urządniczek przyglądał się bacznie, gdy Burgess badał zdjęcia. — A więc? Co tam ciekawego pan znalazł?

— O, jest! — krzyknął podniecony dziennikarz. Wstał od stołu. — Dziękuję bardzo! — To powiedziałwszy wybiegł z pokoju...

W komendzie był publiczny telefon. Burgess nakreślił numer naczelnego redaktora.

Herrick był wściekły. — Najwyższy czas, żeby się pan odezwał! Przez tyle godzin napisałbym już historię Rzymu. Pół dnia stracił pan dał kilku wierszy na ostatniej stronie gazety.

— Jeszcze nie skończyłem. Aresztowano człowieka, ale ja nie wierzę w jego winę.

— Co mi pan tu opowiada! Nie wysłałem pracownika do rozwiązywania problemów policyjnych, lecz w celu zanotowania faktów. Daję panu dziesięć minut czasu na powrót do redakcji. Jeżeli nie, zwołuję pana z pracy!

Rozmowa została przerwana. Burgess wrócił do tawerny Mike'a. Wewnątrz nikogo nie było. Przywitał się z barmanem.

— Poproszę o whisky.

Dziennikarz przyglądał się kielszkowi.

— Ile pan ma takich kielszków? — zapytał.

— Pięćdziesiąt trzy.

Burgess wyjął dolara i położył na ladzie.

— Zalóżę się, że pan nie ma na półce tej ilości.

— Przyjmuję zakład. Będę uderzał w kielszki, proszę liczyć.

Naliczyli pięćdziesiąt cztery. Barman podrapał się w głowę.

— O jeden za dużo. Pewnie źle policzone.

— Policzyl pan dobrze. Proszę wziąć swego dolara, nie chcę go. Chciałbym się teraz dowiedzieć o różnych sprawach osobistych pańskiego zwierzchnika.

— Proszę bardzo. Znałem go dobrze, pracuje tu piętnaście lat.

— Wiadomo, że wszyscy mają nieprzyjaciół. A jak było z Oliverem? Kto go tak nienawidził, że mógłby go zabić?

Barman zamyślił się. — Na pozostawionej liście daliśmy tego Hastingsa.

— Kto dalej po nim? — zachęcał Burgess.

Na odpowiedź musiał poczekać. Po godzinie znalazło się na liście pięć osób: 1. Hastings, 2. Leary, 3. Cosentino, 4. Edge, 5. Poletti...

Burgess zadzwonił do naczelnego redaktora.

— Szefie, wykryłem, że w tawernie Mike'a posiadają o jeden kielszek za dużo. Tam, gdzie była ta strzelanina.

— Kto mówił? — zapytał Herrick ostrym tonem.

— Burgess, przecież pan dobrze wie.

— Aktualnie nie mamy w redakcji nikogo o takim nazwisku,

— Ależ szefie, mam już na liście pięciu podejrzanych, a jeden z nich...

— Sądziłem, że poleca już aresztowała winnego.

— Nie, ponieważ Hastings jest niewinny!

— Kończmy już rozmowę, proszę nie zapominać, że od trzech godzin jest pan zwolniony z pracy — krzyknął Herrick odkładając słuchawkę...

Burgess zaczął wędrować po barach. W każdym z nich zamawiał kieliszek whisky, wypijał łyk i zadawał jedno pytanie:

— Czy ktoś nie zabrał w tych dniach z waszego baru takiego kielszka do wódki?

Kelenerzy odpowiadali: nie, wzruszali ramionami, lub dziwili się. — A ktoś ukradłby taki przedmiot? Pan sobie żarty stroi!

Dziennikarz wychodził szybko, miał jeszcze kawał drogi do przebycia.

Wreszcie około północy, w barze przy Trzeciej Alei, rozmowa przybrała inny charakter. Gdy Burgess zapytał o skradziony kielszek, barman skinął głową potwierdzająco.

— Tak, zabrał mi jeden kielszek. Skąd pan o tym wie?

Burgess zbliżył się do lady.

— Kto go zabrał?

— Nie wiem, nie znam go.

— Ale pan widział tego człowieka?

— Tak, widziałem.

— Proszę opisać jego wygląd, szybko!

— Wzrost średni, czarne włosy, opalony, chudy. Nad czołem łysina.

— Czy miał defekt oka?

— Owszem, jego prawe oko kęzuje.

Burgess rozczarował się. To był rysopis Hastingsa, który siedział w więzieniu.

— Czy pan sam widział, jak zabrał kielszek?

— Nie, lecz pil z niego. Gdy wyszedł na ulicę podszedłem do jego stolika, aby sprzątnąć, lecz nie znalazłem kielszka. Trudno to zrozumieć, nigdy się nie zdarza, żeby klient zabierał taką bezwartościową rzecz...

Lyons patrzył na dziennikarza z nieukrywanym zdumieniem.

— Dlaczego miałby pan tam wpuścić? Czy pan myśli, że w więzieniu obchodzi się tydzień doborco? Ten typ siedzi za morderstwo.

— Chciałbym dowiedzieć się trochę o jego przeszłości. Mam napisać artykuł na temat ogólnoludzki.

— Zalóżę się, że jeśli pana nie wpuszczę wykombinuje pan jakąś historię i narobi mi bigosu. Znam was, dziennikarze — mruzczał wściekle.

Zawołał policjanta.

— Zabierz mi tego gryziplórka i zostaw na pięć minut z Hastingsem. Chcę mu uściśnić rękę...

— Ledwo się tu dostałem — zaczął Burgess, gdy wszedł do celi Hastingsa. — Dali mi kilka

minut, trzeba mówić szybko.

— Chcę panu pomóc.

— Co pan chciałby wiedzieć? — zapytał Hastings.

— Komu pan uściśnię rękę wczoraj wieczorem?

Hastings spojrzal zdziwiony.

— Czy pan zwiariował?

— Powtarzam, komu pan uściśnię rękę w barze wczorajem przed aresztowaniem?

— Nikomu, byłem sam.

— Ilu jakiś pijak schwył moją rękę i potrząsnął nią kilkanaście razy. Chciał mi nawet fundować, ale nie zgodziłem się i wyszedłem.

— Czy obejrzał pan swoje ręce po powrocie do domu? Nie było tam czegoś?

Hastings zdziwił się. — Owszem! Były plamy, jakby od smaru. Pewnie ten typ coś robił przy samochodzie.



Rysował komputer — ODR-1304

— Chwileczkę. Czy był pan w lokalu przy Trzeciej Alei?

Hastings przytaknął. — Tak, lecz wszedłem i wyszedłem sam. Byłem tam najwyżej dwadzieścia minut.

— Proszę pomyśleć, czy nikomu pan nie uściśnię rękę?

Hastings wstał. — Teraz sobie przypominam, że w pewnej chwili

— Czy pan go gdzieś widział?

— Nigdy w życiu. Miał roboty kombinizon i берет mehanika.

— Proszę mi jeszcze powiedzieć, kto pana nienawdził?

— Bo ja wiem, czasem można nawet nie podejrzewać...

Dokończenie nastąpi



Lewym okiem

CZY OBIERAĆ GRUSZKI?

Już doprawdy nie wiadomo, czego się trzymać. Przed z górą pół wiekiem przekonywano zniechęconych chorobami ludzi, że na wszystkie najlepsze lekarstwa jest zycząjna woda, choćby z miejskiego wodociągu. Sekret uczonych medyków polegał wyłącznie na tym, kiedy zaaplikować pacjentowi picie wody — rano, wieczorem, zimnej, cieplej — kiedy nacieranie wodą i w którym miejscu, kiedy znów okłady, parówki, nasiadówki, kąpiele czy też samo patrzenie na wodę (kapitałnie uspokaja nerwy — zapytajcie wędkarzy)?

Potem zaczęto przekonywać gwałtownie, że picie wody bardzo szkodzi i należy używać wyłącznie różnej przegotowanej paskudztwa. Była epoka wielkiej wiary w skuteczność surowego mleka „prosto od krowy” — mnie samego wciągnano w ten surowo-mleczny reżim na każdych wakacjach i pamiętam zapach takiego mleka, mało różniący się od zapachu spoczonego psa — i epoka, traktująca surowe mleko niemal jak truciznę. Obie te teorie forsowane były powszechnie przez najwyższe medyczne autorytety.

Podobnym lekarstwem na wszystko, a zwłaszcza na „suchoty”, był rosół, którego obecnie nie dopuszcza żadna dieta. Jeśli jajka — to tylko na miękkko, bo twarde są ciężkostrawne i strach pomyśleć, co się dzieje po zjedzeniu takiego jajka na czczo i popiciu wodą. Co najmniej skręt kiszek. A od niedawna głosi się z równą siłą przekonania, że w ogóle jajek lepiej nie za dużo, a jeśli już — to raczej na twarde, bo miękkie ciężko się trawią...

Przebiegi w niektórych latach śmiertelnie szkodzą, w innych są bardzo pożądane zwłaszcza dla reumatyków. W szpitalu, w którym odlegwałem wielomiesięczny plewryt, pielęgniarki francuskie otwierały okna jak najszerzej (w zimie) a gdy całkiem po prostu trząśnięm się z zimna — otwierały jeszcze szerokie drzwi na korytarz. Jedzcie surówki — nie jedzcie surówek. Obierajcie gruszki — nie obierajcie gruszek. Czosnek dobry na wszystko — precz z czosnkiem i cebulą! W ciągu jednego nie tak znów matuzalemuowego żywota takie absolutne skrajności wśród — powtarzam — luminary medycyny!

W innych branżach to samo. Świat należy do specjalistów, wiedza rośnie lawinowo, tylko wąska specjalizacja daje szansę sukcesu. Całe szkolnictwo nastawia się zatem hurmem na wąskie, coraz węższe specjalizacje, przy czym nasz kraj poszedł dalej, niż największe przemysłowe potęgi: w szkolnictwie politechnicznym żadnego kraju na świecie nie ma tylu i tak wąskich specjalności, co w naszym! No tak, ale czytam właśnie w felietonie Zielińskiego w „Literaturze”, że panującym staje się przekonanie o konieczności kształcenia młodych ludzi „wszerz”, ograniczenia liczby kierunków studiów na rzecz właśnie rozszerzenia ogólnej bazy wiadomości. Do wniosków takich doszli fachowcy zarówno w Anglii, jak w Sta-

nach Zjednoczonych i w Związku Radzieckim. Odwrotne niż do wczoraj metody leczenia słabości społecznych, a zwłaszcza tej słabości, której na imię niewłaściwe planowanie i zagospodarowanie młodych fachowych sił w gospodarce! Okazuje się, że nie można w żaden sposób utrafić w ściśle zaplanowaniu potrzebnej liczby wysoko kwalifikowanych specjalistów. Zanim zdobędą te wysokie kwalifikacje drogą niezmiernie kosztownych studiów, już układ potrzeb jest inny, bo rodzą się z dnia na dzień nowe branże, zmieniają się proporcje, życie galopuje w tempie niewiele zostawiającym szans dla długofalowych, a upierających się przy szczegółach planistów. „Niech młody człowiek będzie przygotowany na to, że w ciągu swego życia kilkakrotnie zmieni kierunek” — podaje Zieliński pogląd Brytyjczyków na sprawę kształcenia kadr. I jeszcze jeden pogląd cytuję Zieliński — nie własny, ale bez podania źródła — że „ciągle jeszcze spontaniczny wybór zawodu obciążony jest mniejszym marginesem błędów w konfrontacji z rzeczywistością, niż niedoskonałe planowanie!”

Nie planować — źle, a planować — jeszcze gorzej. Za dużo ponoć mamy polonistów i prawników, mimo że od lat usilnie propagowano wśród maturzystów zawody specjalistyczne z tak zwaną „Przyszłością”. No i macie: za dużo mamy także elektromików! Elektromików, których zaczęliśmy się dorabiać dopiero trzy — cztery lata temu! Wiele krajów drogą wysokich finansowych zachęt ściąga do siebie młodych wykształconych ludzi z całego świata, my ich mamy za dużo. Kto się wreszcie w tym wszystkim rozezna?

Obieraj gruszki, czy nie obieraj? Homogenizować mleko, czy pić prosto od krowy?

CWIEK